



BEZIMIENNA.

POWIEŚĆ Z KOŃCA XVIII. WIEKU.

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

Lecz wszedłszy na próg, gdy ujrzała znowu tę uśmiechniętą niby grzecznie a w istocie szydersko i zimno twarz generała... wzdrygnęła się, zachwiała, na chwilę opuściła ją siła, odwaga; musiała usiąść, by nie paść — była cała drżąca. Puzonów te oznaki wzruszenia wytłumaczył sobie na dobre; nie przypuszczał bowiem nawet, aby on, zwycięzca w tylu walkach z sercami frejlin carskich i kniaźen tatarskich... mógł tu inaczej wyjść jak ze świetnym tryumfem...

Przyszły dyplomata ufał też przebiegłości swojej... Machiavelli był jego nauczycielem równie w polityce jak w miłości. Jedno niemaż z drugim analogii?

Hela jednak ochłonęła po chwili, powróciło mężstwo i ta powaga, która jej była właściwą. Puzonów przysiadł się blisko... nie miał czasu do stracenia, korzystał z każdej chwili.

— Panno Heleno — rzekł po małym wstępie i krótkim preludium — od pierwszego wejrzenia wzbudziłaś pani we mnie uczucie, którego prawdziwie przewyciężyć nie umiem. Jest ono tak silnem, tak wielkiem, że nawet widząc iż go pani nie podzielasz... że mi dotąd więcej okazujesz wstrętu niż sympatii... ufam w moc przywiązania tego, wierzę iż złe usposobienie przewyciężyć potrafię...

Dziękuję odzyskiwało moc nad sobą i charakter własny.

— Wdzięczną panu być powinnam — rzekła śmielej — za przyjaźń tę, na którą w istocie nie zasłużyłam; ale przez

Zesz. V.

wdzięczność muszę też być szczerą. Serce moje nie czuje w istocie dla niego nic — oprócz może — obawy.

— Spodziewam się, że czas temu zaradzi — odparł Puzonów... Znam położenie wasze... starałem się interesując wami dowiedzieć o stosunkach... Pozwólcie mi naprzód być wam pomocnym... ratować...

Helena spojrzała nań... ale oczy jego iskrzyły się więcej niezrozumiałą dla niej passją, niż łagodnym miłosierdzia blaskiem.

— Byłbyś pan istotnie dobroczyńcą moim i zyskałbyś prawo do wdzięczności — rzekła — gdybyś to uczynić chciał nie wymagając nic odemnie... przez chrześciańską i braterską litość.

— A! pani — to nad ludzkie siły — zawołał generał — nie możesz pani po mnie wymagać, bym szalejąc dla niej, był bezinteresownym... Miłość jest samolubną ze swej natury, korzysta ze wszystkiego, co pochwycić może... upadający w przepaść chwyta się każdej zielonej gałązki.

— Niewiem tylko czy to potrafi... obudzić we mnie co więcej nad nową obawę — szepnęła Helena...

— Może trochę powolności pozyskam — rzekł Puzonów...

— Ale ja kłamać nie umiem...

— O! tego ja nie wymagam — odparł Moskal — ale możesz być pani dla mnie powolniejszą trochę, starać się obawę i wstręt przewyciężyć... popracować nad sobą przez litość wzajemną dla mnie. Reszta, ufam, przyjdzie z cza-

sem... Mówmy otwarcie — dodał — ja jestem gotów na największe ofiary, dla pozyskania jej życzliwości.

— Sam pan mówisz... że to być musi dziełem czasu... — odpowiedziała spuszcżając oczy Helena.

— Ja to mówię... tak! mozem to powiedziać nie myśląc — przerwał Puzonów, który w istocie rozplomieniał — ale czekać *le bec dans l'eau*... o! niewiem czy potrafię długo! Uczynię wszystko czego pani zażadasz... pani być musisz moją!!

To porywcze oświadczenie przestraszyło Helenę, cofnęła się, zaczęła płakać, zamilkła... Słowa obijały się niezrozumiale o jej uszy... widziała tylko przed sobą na przemiany, smutnego Tadeusza, zapłakaną matkę, chorą Julkę.

Puzonów zrozumiał, iż się za daleko posunął, bo Starościna, która części rozmowy była świadkiem, dała mu też znak, że szedł za prędko — oświadczył więc zaraz z wielką wspaniałomyślnością, iż nie wymaga nic, prosi tylko o pozwolenie widywania się... często, codziennie...

O przyszłości, o ożenieniu nie było mowy, jenerał przybraną wesołością starał się przywrócić spokój i otrzeć łzy, a naprawić pierwsze wrażenie; potem widząc, że trzeba czas dać uspokoić się strwożonej, pożegnał ją. Na ręce Starościnej złożył rulonik, który prosił, aby oddała po wyjściu jego dopiero. Miała to być pożyczka... pomoc... to co Starościna uzna właściwszem...

Starościna, gdy się drzwi za nim zamknęły, przybiegła do Heli i rzuciła jej złoto rozsypane na kolana, śmiejąc się, usiłując dowieść, jak to było z jego strony szlachetnem, delikatnem i t. p.

Ale ona z przerażeniem ujrzała dar... czując iż on ją wiązał, że ją przykuwał na wieki, że przyjmując go bez nadziei zwrócenia podaje się... w niewolę losu... Zaczęła płakać, załamała ręce, odrzuciła pieniądze, nie wiedząc co począć z sobą. W chwili stanowczej traciła męztwo i moc nad sobą... głowa jej zawracała się...

Ofiara była niezręczną, jakże ją miała wytłumaczyć Hela przed Ksawerową, by nie obudzić jej podejrzeń, i jak utaić?

Starościna przysłała jej litościwie w pomoc, widząc tak zrozpaczoną.

— Moja Heleno — rzekła — zastanów się, pomyśl, ochłodniej! nie bierz tak gorąco... pomówmy... Wszyscy ci dobrze życzymy... Cóż łatwiejszego jak to przed matką zataić, częściami używając jako swojego zarobku.

Zrobimy co potrzeba nie obudzając podejrzeń... Posłuchaj... z gospodarzem, tym poczciwym baryłą Paprońskim, pomówisz po cichu, zapłacisz mu (będzie rad, bo pieniądze lubi), a uprosisz go łatwo o to, że przed matką powie, iż wam z dobrego serca daje lepsze mieszkanie na drugim piętrze, które właśnie stoi próżne. W ten sposób najtrudniejsze się już ułatwi.

W dodatku, na drugim piętrze nademną mieszkając łatwiej ci będzie zbiedz do mnie i widywać się z jenerałem, coś mu już przyrzekła i musisz dopełnić. Wszakże więcej nie wymaga nad trochę życzliwości?

I sentymentalnie dodała żartując:

— Nic, tylko patrzeć w piękne oczy twoje!!

Hela wzdrygnęła się, tak ta wesołość dyzharmonijnie zabrzmiała w smutnem jej sercu. Starościna ruszyła ramionami.

— No! no! dość ceregielów i płaczu... Tak zawsze bywa w początkach... oswoisz się, obędziesz, przywykniesz do niego, przywiążesz się, a potem zdziwisz się sama przekonywując że go kochasz... To ci prorokuję!

Helena tymczasem rozmyślała po cichu prawie już nie słysząc Starościnej. Rada co do najęcia mieszkania wydała się jej dobrą... tak było pilno zmienić te nieszczęśliwe, ciemne, straszne izdebki na trochę powietrza i słońca! Wytłumaczyła sobie, czując się na sumieniu spokojną, że... potrafi może doczekać o tem posiłku przybycia Tadeusza. A on pomoże jej zwrócić go... Jej miłość dla tej rodziny przysposobionej wysilała się na sofizmata, pokonywała wstręt i strach. Jutro więc Julka mogła mieć weselszy pokoiik, matka jedzenie ciepłe a zdrowsze; lekarz opłacony skłonił by się może być dla dziecięcia troskliwszym! Mogłaż się wahać z przyjęciem pożyczki...

— Starościno! pani — rzekła po chwili — jestem zmuszona przyjąć, ale to będzie pożyczka.

— Tak! tak! pożyczka! — śmiejąc się, odpowiedziała Betina — której o to szło wielce, aby pieniądze przyjęła.

— Ja ją zwrócę jak tylko...

— Rozumie się, jak tylko będziesz mogła, moje dziecko! niema o czem już mówić... Idź, spiesz do gospodarza, wszak chwili nie masz do stracenia... Mieszkanie na drugim piętrze, tak miłe dla matki, może kto zająć. Niemasz się czego wahać... wierzyciel będzie powolnym i poczeka jak długo zechcesz, a uśmiechem mu procent zapłacisz!

To mówiąc, przynaglając, zebrała Betina nieszczęśliwe złoto, związała je i wcisnąwszy prawie gwałtem Helenie, wyprawiła ją ściskając, uspokajając... Rachowała iż dług musi Helę uczynić względniejszą — resztę jenerał miał zdobyć...

Z szatańskim uśmiechem, powinszowawszy sobie, że się tak wszystko składało wybornie, Starościna ręce zatarła, przejrzała się w zwierciadle i uśmiechnęła do siebie.

— Jenerał powinien się czuć do wdzięczności — szepnęła — niktby tego co ja niepotrafił!

XXXVIII.

Bacciarelli nie miał najmniejszego powodu ukrywania się z historią pięknego dziewczęcia, które spotkał w pozie tak malowniczej wśród Miodowej ulicy. Nie przyszło mu

nawet na myśl, by Księżna Wojewodzina, osoba stojąca tak wysoko w opinii publicznej, iżby ją nikt nawet posądzać nie śmiał o chwilową słabość — miała cierpieć na przypadkowym podobieństwie do jakiejś ubogiej istoty, której kaprys losu dał rysy innego rodu... piękność, która dla ubogich jest często klęską i ciężarem, a zawsze niebezpieczeństwem.

Najśmielszy nawet umysł nie mógł się ważyć na jakieś niedorzeczne przypuszczenia. Mówił więc o tem nadzwyczajnym podobieństwie sieroty do Księżny Wojewodziny głośno, nie tając się z podziwem, i obudził we wszystkich ciekawość oglądania piękności, którą taki znawca wysławiał.

Wielkie panie niedowierzająco mówiły o tem, utrzymując że Bacciarelli postarzał, stracił smak i wzrok potroszę, bo gdzieżby znowu dziecko ludu śmiało być arystokratycznie pięknem, nie mając do tego prawa?

Utrzymywano, że delikatnej różnicy, jaką stanowi rasa i krew, Włoch nie potrafił ocenić i wziął nieforemną karykaturę za prototyp idealny... Spierano się o to, a co najgorzej nadto się tem zajmować zaczęto.

Musimy też tu słówko dodać o Ks. Wojewodzynie. Była ta pani, wśród tego wieku, społeczeństwa i jego obyczajów istotą zupełnie wyjątkową, osobą surowej cnoty, powszechnie szanowaną, na którą najzłośliwsze języki targnąć się nie śmiały. Powątpiewano wielce, czy była w pożyciu szczęśliwą — wiedzieli jednak wszyscy, iż nawet szczęście poświęciłaby obowiązkom. Żyli już od lat kilkudziesięciu z ks. Wojewodą, a dzieci im nawet pan Bóg odmówił. Była to egzystencja jednostajna, wspaniale wyglądająca z daleka, przepychem ozłocona, a wydająca się jakoś smutnie... Choć żadna chmurka nie zaćmiła dotąd błęgiego horyzontu tego dobrze dobranego stadła, które za przykład wskazaniem być mogło — jednakże nikt nie zazdrościł im... a szczególnie Wojewodzynie. Będąc widocznie najszczęśliwszą, kochaną, szanowaną, miała jakąś postać i twarz męczennicy... Uśmiech rzadko się zjawiał na jej ustach, wesołość nosiła czasem ale przybraną, wymuszoną, a gdy sądziła, że ludzie jej nie widzą, podobniejszą była do posągu martwego, niż do żywej istoty... niż do tak szczęśliwej, jaką być była powinna.

Książę Wojewoda był też postacią niepospolitą, wyjątkową — zwano go oryginałem, ale szanowano powszechnie. Robił wiele dobrego, nosił imię dostojnie... nie splamił się niczem, a choć przyjaciół nie miał, nie mógł też mieć niechętnych — życzliwych liczył ilu znajomych. Pięknego imienia starożytnego, pan ogromnej fortuny, którą jednak nierychło odziedziczył całą, bo był najmłodszym z rodzeństwa i począł życie od tego, że myślał obrać sobie stan duchowny; — Książę Wojewoda zapisał się był później do zakonu Maltańskiego, ale straciwszy z kolei wszystkich trzech starszych braci — powrócił do kraju i do majątku zmuszony tylko jako spadkobierca rodziny.

Od młodu prawie bawiąc w Rzymie i we Włoszech, odwykł był od kraju i, jak mówiono, nie bardzo chętnie wracał do nowego życia i nowych obowiązków.

Człowiek był na pozór chłodny, poważny, milczący, ale ci co go znali przebąkiwali, iż był energicznym i gwałtownym, umiejąc tylko panować nad sobą.

Wychwalano jego dobroczynność, wspaniałość i uczucie godności swej posunięte aż do przesady może, czasem do śmieszności. Czuł on się tak bardzo potomkiem wielkiego rodu, iż zdawało się chwilami, że zarazem miał się za istotę wybraną, wyjątkową, z łaski bożej naznaczoną do reprezentowania kilkuwiekowej tradycji.

Dwór jego na wsi zarówno i w Warszawie urządzony był z etykietą i ceremoniałem tak ścisłym, jaki się zaledwo na monarchicznych dworach spotyka. Trzymał marszałka dworu, miał jakiegoś mistrza obrzędów, dworzan, paziów; przestrzegano ściśle, kto zająć mógł u niego fotel, krzesło lub taburet. Gdy przypadek nastęrczył u stołu doktora nieszlachcica, lub cudzoziemca bez herbu, Ks. Wojewoda przez grzeczność udając chorego, do obiadu nie siadał. Znano go z tego, iż przy pierwszej znajomości dobadywał się zaraz prozapii, i nie prezentowano mu nawet nikogo, coby się z pięciu pokoleń wywieść nie mógł jasno i łatwo. Na świeższych skartabellatów patrzył z niedowierzaniem, czując, że to był rodzaj szlachectwa co jeszcze niedojrzał; indygenaty przyjmował, ale tylko autentycznymi obcego szlachectwa dowodami poparte. Z mieszczanami miewał tylko interesa, nigdy stosunków; wieśniak był dlań istotą niższej natury, upośledzoną... ale dla miłości bożej cierpianą.

Z takimi wyobrazeniami żyć w XVIII w. było coraz trudniej; naśmiewano się z Ks. Wojewody, ale zresztą był to wcale dobry człowiek.

Życie jego spływało na reprezentacji i wystawnych przyjęciach lub w zamknięciu. Śmiano się z jego arystokratycznej monomanii, ale nie było sposobu z niej go wyprowadzić. Oprócz orderu Maltańskiego, Bożego grobu, św. Huberta, Stanisława i Orła Białego, miał Ks. Wojewoda ciężką podobno nabyte Złote Runo, które go wbijało w pychę, i parę gwiazd od różnych dworów. Blady, wysoki, chudy, zdawał się zdjęty ze starego portretu Van Dyck'a i przypominał raczej Włocha lub Hiszpana, niż Polaka. Nosił się naturalnie po europejsku, najchętniej jednak z hiszpańska. Mało mówił, żył z niewielką ludźmi... nikomu nigdy nie szkodził, pomagał chętnie i prawdziwie po pańsku...

Przybywszy do kraju, oprócz innych obowiązków politycznych, zrozumiał że powinien się być ożenić. Chciano go swatać na dworze, ale gdy poznał życie tutejsze i rodziny znaczniejsze otaczające króla, grzecznie odrzucił najświetniejsze stręczące mu się partye, nie mówiąc wcale dla czego.

Następnego lata wybrał się z całym dworem do dóbr, zabawił kilka miesięcy na Litwie, wyszukał sobie dziewczeczkę ubogą starego rodu i imienia słynnego, pannę Sunigajłównę, począł się o nią starać i wkrótce ożenił. Szepiano, że panna go nie bardzo sobie życzyła, ale musiała uleść woli rodziny.

Z obowiązków urzędu i nawyknienia do miasta zmuszony większą część roku przebywać w Warszawie, gdzie miał pałac wspaniały, na nowo bardzo pięknie urządzone, przybył tu z żoną swą i rozpoczął żywot wystawny, świetny, ale otoczony tym ceremoniałem zabawnym, od którego nigdy nie odstępował.

Księżna Wojewodzina, jak się domyśleć łatwo, zmuszoną była podzielać nie tylko losy ale i sposób życia męża, jego fantazje i gusta. Otaczano ją poszanowaniem, względami jak najwyszukańszymi, ceremoniałem nadzwyczaj pochlebnym może dla dostojności jej, ale po troszę nużącym. Młodej kobiecie, żywej, spragnionej świata, ciekawej, ten klasztorny rygor nie bardzo musiał przypadać do smaku. To też nosiła zawsze na twarzy dziwnie pięknej, miłej, pełnej wyrazu, piętno jakiegoś nieuleczonego smutku...

W stosunkach dwojga małżonków upatrywano prawie oziębłość, w Księżnie więcej obawy niż przywiązania, w Księżciu wiele zazdrości bez powodu i surowość zbytęcną. Baczniejsi opowiadali, że na sam głos jego, rozkazujący, zimny, choć zawsze towarzyszący wyrazom pełnym grzeczności i uszanowania, Wojewodzina mimowolnie drgała i bladła.

Piękność Ks. Wojewodziny, oziębłość pozorna męża, który obchodził się z nią raczej jak z dzieckiem niżeli z towarzyszką życia, w wieku i dworze takim jak ówczesny, musiały naturalnie powołać w szranki zalotów mnóstwo młodzieży.

Salony Ks. Wojewody były otwarte... ale serce pani odpychało wszelkie nawet najniewinniejsze grzeczności, każdą chętkę zbliżenia się, z jakąś trwogą i niepokojem... Przytem postawa Wojewody onieśmielała gachów, gdyż oko jego było tak czujne, a ucho tak wrażliwe, iż żadne wejście, ruch i słówko baczności jego nie uszły.

To też skutkiem tej niezmiernej pieczołowitości Księżcia, a wielkiej skromności żony jego, nawet pozór najmniejszego skandalu, cień intrygi nie zaćmił najprzykładniejszego ich pożycia. Zgadzałi się wszakże wszyscy wtajemniczeni w arkana tego żywota majestatycznego, iż Wojewodzina szczęśliwą w niczem być nie mogła; a Księżę przez całe życie podobniejszy był do stróża pilnującego skarbu niż do tkliwego małżonka.

Nawet po trzydziestu latach pożycia, gdy ks. Wojewodzina poważną była matroną, a wiek znacznie przyćmił jej piękność, Wojewoda pozostał około niej czujnym, troskliwym o każdy krok jej stróżem, choć grzecznym i nadskakującym. Dom teraz otwierał się rzadziej, występowano

wówczas z przepychem wielkim, zresztą życie było zabijająco jednostajne.

Rano Księżna jejmość jeździła poszóstnie z dwoma dworzanami do kościoła, a dwóch lokajów nieśli za nią poduszkę i książki; po powrocie przyjmowała odwiedzających lub rzadkie oddawała wizyty otoczona dworem i służbą w przepysznej liberyi herbowej; na obiad bywało zwykle parę zaproszonych osób, co małżonków uwalniało od kłopotliwej samotności we dwoje, której zdawali się chętnie unikać... na ostatek wieczorem przychodziło kilka osób, albo Wojewodzina osobno, on osobno, spędzali kilka godzin u znajomych i krewnych.

Tryb ten niezmienny, rzadkim ulegający wyjątkom, stawał się jeszcze surowszym, gdy Wojewoda wyjeżdżał na wieś lub w dłuższą wycieczkę jaką za granicę, co się parę razy trafiło. Naówczas Ks. Wojewodzina zamykała się, nie przyjmowała prawie nikogo, nie jeździła nawet do kościoła, a staruszek kapelan za osobnym indultem w sali wielkiej mszę świętą codziennie dla niej i dworu odprawiał. Ogród obszerny, obmurowany jak klasztorny starczył na przechadzki. Ks. Wojewoda należał pozornie do stronnictwa królewskiego, jednakże choć greczny dla Moskali nie wdawał się z nimi w żadne konszachty i nie taił się ze wstępem dla nich. Napróžno próbowali z kolei wszyscy ambasadorowie pozyskać go sobie i zrobić zeń czyn narzędzie intryg politycznych, zbywał ich tem, że się do robót podobnych nie czuje powołanym. Nie wdawał się on w żadne dworskie intrygi i frymarki dyplomatyczne, bywał wszędzie, nie wiązał się z nikim; ulubionem jego zajęciem było... robienie złota i szukanie filozoficznego kamienia. Namiętność tę z Włoch przywiózł z sobą, chwyciwszy jej jeszcze w młodości, i nie mogąc się już pozbyć, choć się trochę z tem ukrywał, aby sceptycy się zeń nie naśmiewali. Część większą dnia spędzał w gabinecie i pracowni, sam na sam ze swemi książkami, retortami i tyglami. Cagliostro zwierzył mu był odrobinę jakieś tajemnicy wielkiego dzieła, którą on starał się usilnie dopełnić, będąc zawsze niezmiernie blizkim odkrycia, które tylko dla małych niedokładności i omyłek się przeciągało.

Wiadomo jak w końcu XVIII. wieku mania ta pracowania około kamienia filozoficznego i roboty złota wiele jeszcze głów zawracała.

Wojewoda należał do najmocniej przekonanych, że złoto kiedyś da się robić tak łatwo, jak masło ze śmietanki; szło tylko o tę śmietankę, która zawsze była w złym gatunku, i dlatego nie udawało się złoto.

XXXIX.

W każdym człowieku obudza zajęcie przypadkowe do niego podobieństwo twarzy, które jest jakby węzłem, co łączy dwie jednostki; mimowolnie czuje się pociągniętym ku temu Sozj, przypuszczając w nim charakteru i losów

podobieństwo. Nie można się też dziwić, że Księżna Wojewodzina, dowiedziawszy się od Bacciarellego o Heli, mocno się jakoś nią zajęła, zapragnęła ją widzieć i przekonać się, czy ten młodociany jej wizerunek w istocie ją przypominał. Ale surowość i dziwactwo Wojewody czyniły to prawie niepodobnem; niewolno jej było łamać ceremoniał domowy, wyjść nawet pieszo i bez dworu do kościoła... Przestrzegano tak ściśle poszanowania należnego pani, iż msza przychodziła do niej, gdy ona do mszy pójść nie mogła, a jeżeli chciała co kupić, kupców przywożono do domu, aby się Księżna jkmość jak pospolite niewiasty do sklepów nie trudziła.

Ale w takiej niewoli, jaką znosiła Księżna pod pozorem poszanowania, zawsze znaleźć się muszą środki dla uniknięcia zbytecznego jej rygoru. Księżna była dobrą i służbę miała po sobie, ludzi wiernych a wylanych na usługi — z ich pomocą znajdowała środki wymknięcia się czasem z domu swobodniejszego, aby odetchnąć powietrzem i ruszyć się bez asystencyi. Tak przynajmniej mówiono w mieście po cichu, wcale się nie dziwując Księżnie.

Nazajutrz zaraz po rozmowie z Bacciarellim obmyśliła Księżna, jakby w godzinie porannej mogła Helenę sprowadzić pod jakim pozorem i ciekawości swej dogodzić. Właśnie wśród narady o to poufnej z wierną od dzieciństwa towarzyszką panną Babską, (którą jeszcze z Litwy z sobą przywiozła i nigdy jej nie opuszczała, mimo że mąż często okazywał, że jej nie lubi) — zapukano do drzwi, kamerdyner wszedł zapytując, czy jaśnie oświecona Księżna pani jegomości Księcia Wojewodę przyjąć raczy.

Naturalnie nigdy się inaczej nie odpowiadało, tylko:

— Prosić Księcia jegomości — a sama Księżna jejmość wychodziła do pierwszego pokoju na spotkanie. Była to forma ceremoniałem dworu przepisana. Księżna więc natychmiast porzuciwszy robotę, odprawiwszy Babską wyszła, ale spotkała w progu Księcia we fraku, orderach, z kapeluszem pod pachą, idącego dość spiesźnie ku sobie. Wedle formy przepisanej Książę pocałował ją w rękę, dowiedział się o zdrowie, a opatrzywszy zwolna drzwi wszystkie (co niezawsze, ale często się trafiało) usiadł i rozpoczął po cichu...

— Proszę też W. Ks. Mości, że w tej Warszawie próżniacy sobie jakąś zawsze zabawkę wymyśleć muszą, choćby kosztem drugich...

Księżna spojrzała.

— Cóż to jest, Mości Książę?

— Ten nieznośny Bacciarelli — mówił dalej Wojewoda — roznosi po mieście, iż gdzieś tam spotkał dziewczynę nadzwyczajnej urody, która tak do W. Ks. Mości ma być podobną... że... gotowi ci niepoczciwi, Bóg wie jakie dla nas krzywdzące z tego wnioski wyciągać.

Książę spojrział na żonę, zdawało mu się, że pobladła nieco — jednakże uśmiechnęła się i ruszyła ramionami.

— Mój Mości Książę — rzekła — coż mi to uwiacza, co mi to szkodzi i co to nas ma obchodzić?... Nie trafiając się podobne wypadki na świecie?

— Tak, to pewna, ale między ludźmi złośliwymi, zazdrośnymi, podejrzliwymi jak ci nasi... to daje powód do śmiechów, szyderstw i wniosków niegodziwych.

— Jakich? — spytała Księżna spokojnie — mów Książę otwarcie.

— Mościa Księżno — rzekł Wojewoda — żyjemy z sobą lat kilkadziesiąt, a dzięki Bogu, nie mieliśmy powodu uskarżania się na siebie... ale ludzie o tem nie wiedzą, a świat jest zepsuty... któż im zabroni mówić, naprzykład, że to może być córka W. Ks. Mości?

— Córka? moja? — wykrzyknęła Księżna, załamując ręce i cofając się na krok... Książę śmiał się sucho, patrząc jej w oczy z uporem jakimś dziwnym.

— O! o! ależ nie ja to przecie mówię! — zawołał — głupi to mogą mówić... podli, nikiemni...

— A, Mości Książę, coż ja na to poradzić mogę! — odparła Księżna spokojnie.

— Ja też nie po radę przyszedłem do W. Ks. Mości, ale z radą... W. Ks. Mość naturalnie możesz być także ciekawą, możesz chcieć się zająć losem tej dziewczyny, która jak słyhać, jest biedna, bardzo biedna... córka jakiegoś oficjalisty ze wsi, czy coś podobnego... Otóż gdybyś W. Ks. Mość okazała najmniejszą ciekawość, interesowanie się utwierdziłoby te pogłoski... a przyznam się W. Ks. Mości, że byłoby mi to bardzo — powtarzam bardzo nieprzyjemnem.

Książę mówiąc to, zagryzł wargi... surowe wejście na żonę reszty dokonało.

Księżna siedziała blada jak marmur, ale zastygła i nieruchoma.

— Możesz W. Ks. Mość być pewnym — rzekła po chwili — z ciężkością dobywając głosu — że jego imienia i sławy nie narażę... dla dogodzenia mojej ciekawości.

— Otóż chodziło mi tylko o to — dodał Książę.

— Ale z mojej strony, Mości Książę — odezwała się widocznie wysilając Księżna, biorąc rękę męża i całując ją z uszanowaniem niewolnicy — pozwól się prosić, abyś przez zbytnią drażliwość, nie myślał na tej nieszczęśliwej a niewinnej istocie mścić się fatalnego do mnie podobieństwa...

Książę zagryzł znowu wargi.

— O! cóż za myśl! — zawołał — co znowu za myśl!

Spojrzeli na siebie, nastąpiło milczenie — Książę wstał jakby się sposobił do wyjścia.

— Dajesz mi na to twe słowo książęce? — spytała żona.

Wojewoda jakby się zawahał, a Księżna powtórzyła z uczuciem:

— Dajesz mi na to twe słowo?

— Na to tylko W. Ks. Mości mogę dać słowo — rzekł po namyśle Wojewoda — że nie chciałbym być zmuszonym, aby się jej co złego stało z mej przyczyny...

Książę wymówił znacząco — zmuszonym — i jakby unikając dalszej rozmowy, pocałował rękę drżącą żony, uklonił się i wyszedł. Drzwi się zamknęły, Księżna padła na fotel, a gdy troskliwa Babska, która wyjścia Księcia oczekiwała za drzwiami, nadbiegła — znalazła ją prawie zemdloną.

Było gorąco w pokojach, a Książę zawsze takie wrażenie trwogi zostawiał po sobie. Częste zresztą mdłości Księżny przypisywano chorobie sercowej, której podlegała od lat dwudziestu.

XL.

Ksawerowa zerwała się z krzesła i biegła z rękami roztwartymi ku Heli, która zarumieniona, we łzach, zawstydzona stała przed nią.

— Ty jesteś naszym aniołem, zbawcą — zawołała — rzucając się jej na szyję z uczuciem najwyższem — niech ci to Bóg nagrodi, dziecko moje! Julka ci życie będzie winna, a ja szczęście... o! niech ci Bóg błogosławi... bo on cię dla nas zesłał...

Słowa te wyrzeczone były na nowem mieszkaniu, na tem drugim piętrze, na którym Ksawerowa znalazła się znów, jak niegdyś w szczęśliwszych dniach życia swego.

Wprawdzie teraz niepokoiło ją sąsiedztwo Starościnej, ale nie zważała na nie pod wrażeniem radości Julki i wspomnień młodości.

Gdy Hela przybiegła jej dać znać, że pan Paproński choćby na najdłuższy kredyt ofiaruje jej to drugie piętro, gdy potem klamiąc pobożnie, oświadczyła jej, że przez bankiera Kapostasa otrzymała znaczny zasiłek przysłany przez Siechnowickiego, gdy Julkę otoczyło powietrze świeże, słońce, kwiaty, wygody... gdy sama wręcić mogła trochę odżyć lepszymi wygodami i nadzieją uratowania drogiego dziecięcia — nie miała wyrazów dla wypowiedzenia Heli swej wdzięczności.

A ona — ona stała z rękami opadłymi w dół, z głową zwieszoną, z dwoma strumieniami łez spływającymi po bladej twarzy... Była to nagroda za jej poświęcenie — ale jakże krótko trwała niestety!

Z uczuciem najgorętszej miłości dla tego dziecięcia, którego ocaleniu poświęciła co miała najdroższego, Hela wyrwała się i zbiegła do łóżeczka Julki.

Julka uśmiechnięta, różowa, wesoła, zdawała się odzywać jak kwiatek zmrożony na wiosnę... Rzuciła się jej rączkami na szyję. Dziwne to dziecię miało jakieś jasnowidzenie, przeczucie, że Heli wszystko było winne, siostra padała dla niej ofiarą — i, tak żeby niesłyszała matka, całując ją a pieścąc, szepnęła na ucho.

— Helu! Helu! ja wiem żyś ty dla mnie nieszczęśliwa... mnie się to śni — ja to czuję i z twoich czytam to oczów. Jest w twem sercu rana... ty cierpisz... moja siostrzo droga,

mój aniele złoty — ty kochasz Julusię, a Julusia jak pójdzie do nieba, u Boga dla ciebie szczęście wyprosi!

— Co ty pleciesz — szepnęła Hela, tuląc jej usta pocałunkiem.

— Nic już nie powiem nic... — cichutko mruczało dziecię wpajając w nią oczy czarne... ale to darmo! jeszcze dni trochę jaśniejszych, weselszych, a potem pójdę do aniołków. Trzyma mnie tylko miłość wasza...

— A! nie myśl i nie mów o tem...

— Kiedy mi to we snach szepcze ten biały, śliczny, srebrzysty, co w głowach łóżeczka stoi.

I popłakały się obie.

Ksawerowa z łatwowiernością nieszczęśliwych wszystkim bajkom splecionym niezręcznie przez Helę dała wiarę, błogosławiła ją, Siechnowickiego, czekała już tylko jego przybycia, uśmiechając się zagadywała o ślubie... i sądziła że mówiąc o tem, uczyni jej przyjemność, gdy najsrożej krwawiła serce rozżalone. Spoglądała na Helę dziwiąc się, że ona milczy, a nic rozweselić jej nie może.

Tymczasem upragniona wiosna powoli nadchodziła, a czekała tylko waczajona pierwszych skowronków dzwonka, aby uśmiechnięta wzlecieć nad ziemię.

XLI.

Dla tych nawet, co od dawna przywykli byli do życia stolicy, często gorączkowemi chwilami przerywanego, wzbierającego jakąś namiętnością — Warszawa przedstawiała w przeddzień wiosny 1794 r. obraz tak niezwyčajny, jakiemu podobnego nie pamiętali ludzie. Niemożna go było porównać do wili konfederacyi barskiej, do żadnego z tych przesileni, które przeżyto. Na pozór szło życie trybem powszednim, ale z łona ludności stołecznej buchały jakby mimowolne niecierpliwości oznaki, w łonie jej drżało uciskiem zwiększone pragnienie zemsty... Nigdy też despotyzm moskiewski, pod pozorem opieki, gwarancyi i sojuszu nie ciężył srożej nad Polską; nigdy może przykrzejszem nie było prześladowanie, którego narzędziami na szyderstwo wybrano Polaków, powołujących się do starych praw i swobód Rzeczypospolitej. W imię wolności wywożono na Sybir, z pod boku króla porywano ludzi, zabierano senatorów, ginęli gdzieś bez wieści urzędnicy, posłowie, obywatele... a nikt nie śmiał spytać nawet, co się z nimi stało. Nikli tak dostojnicy, duchowni, arystokracja, szlachta... najmniejsza oznaka opozycyi karaną była z nieubłaganą mściwością. Jeżeli nie można było pochwycić osób, niszczone ich dobra, sekwestrowano je, żołdaków jak szarańczę puszczano chmurami, aby je pustoszyły. Ten terroryzm sroższy był jeszcze w Warszawie, gdzie rząd miejscowy najmniejszej nie miał już władzy, gdzie wojsko moskiewskie, szpiegi i denuncyanci dokazywali co chcieli. Zdaniem ambasadora był to jedyny sposób upokorzenia buntowniczego ducha, uczynienia posłusznym narodu niepoprawnego, czującego

ulicy i nachylając się do ucha przestraszonej — rzekł do niej głosem stłumionym :

— Mościa panno, mam z nią do pomówienia.

Hela która się była cofnęła, wpatrzyła się w niego zdziwiona; przestraszył ją swą twarzą trupa i oczyma czar-nemi; na myśl jej jednak przyszło zaraz, iż to być może wysłaniec Siechnowickiego lub Kapostasa. Spytała więc cicho:

— Ale czy to nie omyłka? ze mną?

— Nie, nie — żywo odpowiedział mężczyzna, chwytając ją za rękę — mam z waćpanną pomówić dłużej... o bar-dzo ważnej rzeczy...

Dzień był dosyć pogo-dny poczynającej się wiosny, jeden z tych dni zwiastunów ciepła, które zawodzą, pro-wadząc potem za sobą śniegi i chłody... wicher i burze... jakby pragnieniu życia urą-gać się chciały.

— Ale gdzieżbyśmy pomó-wić mogli? — zapytała Hela czy tu?

— Nie... Idź waćpanna do ogrodu... do ogrodu Mnisz-chów, jest otwarty, ja tam nadejdę.

Zdziwiona bardzo He-lena skłoniła głowę i poszła powoli, nie domyślała się jednak nic złego... zatrwożyło ją tylko, że mężczyzna ów znikł natychmiast skrećiwszy się nie wiedzieć gdzie...

Bramę ogrodu Mnisz-chów znalazła otwartą w isto-cie, w ogrodzie nie było prawie nikogo, oprócz ogro-dników i stróżów, którzy zamiatali liście i pleśni zimo-we. Zaledwie weszła w ka-sztanową ulicę, mężczyzna

wysunął się z za marmurowego piedestału wazonu u wscho-dów... Z trwogą poczęła mu się teraz przypatrywać na no-wo... Był wysoki, niemłody, twarzy żółkłej i pomarszczo-nej, oczów straszliwie czarnych, zapadłych... których wyraz był ostry i przeszywający... W ustach zaciętych była du-ma i surowość... On także bacznie się w nią wpatrywał... Hela milczała.

— Przeszedłem tu — rzekł, wytrzymałszy nieco — dla waćpanny dobra i przestrogi. Ale naprzód mów mi szczerze i otwarcie, w jakim jesteś położeniu... co wiesz o sobie i swem pochodzeniu?

Helena zawahała się, zdawało się jej, iż niepotrzebnie mówiłaby mu o sieroctwie... odpowiedziała krótko, mia-nując się córką wdowy po urzędniku... i t. p.

— Czy tak waćpannie mówili? — zapytał żółty — bo tak podobno nie jest?

Helena zasłoniła się i zamilkła.

— Waćpanna jesteś sierotą, dzieckiem bez ojca i matki... masz imię Helena Ludwika, chrzczoną byłaś u św. Krzyża... Doktor L... przywiózł cię niemowlęciem i oddał w opiekę tej, którą nazywasz matką...

— Gdyby tak było — odparła Helena — cóż to do kogo należy? i co to może kogo obchodzić?

— A gdyby zależało? a gdyby obchodziło? — zawo-łał śmiejąc się dziko męż-cyzna — gdyby byli ludzie, dla których waćpanna jesteś niepotrzebną na świecie?

Helena cofnęła się i prze-łękła.

— Nie obawiaj się — rzekł mężczyzna — w tej chwili jeszcze nic ci nie grozi — ja tylko przychodzę z przestro-gą życzliwą...

Co prędzej to bezpiecz-niej dla waćpanny, abys się z kraju oddaliła... i nigdy nie powracała... Tak tylko możesz być pewną, że... że się waćpannie nic złego nie stanie.

— A gdybym została? — zapytała Helena.

— Gdybyś została — rzekł ponuro mężczyzna... ha! to może przyjsć chwila i ko-nieczność... taka, że śmierć grozić ci będzie... śmierć! powtórzył z cicha... śmierć!

Helena zadrzała, łzy puściły się jej z powiek, myślała uciec, ale mężczyzna silnie pochwyił ją z gniewem za rękę.

— Stój waćpanna i słuchaj... zrozumiałaś mnie?

— Ale ja nie jestem panią mej woli — odpowiedziała z oburzeniem dziewczyna — mam obowiązki, kocham matkę i siostrę... jestem nareście ubogą i ruszyć się nie mogę, choćbym to życiem przyplacić miała.

— Na ubóstwo znajdzie się rada — przerwał stary — będziecie miały i o czym pojechać i czym żyć bez ciężkiej pracy... ale wyjechać wam trzeba... daleko... a nie powracać tu nigdy... Pieniądze będą wam dane...



Panna Babska. (str. 145.).

Hela ledwie słowo wyrzec mogła.
 — Niepojmujesz pan położenia mojego — rzekła — jestem młoda, bez doświadczenia, nie rozumiem świata i tych konieczności okrutnych... ani jak ja komu na świecie przytomnością moją szkodzić mogę? Nie stanowią zresztą o sobie, bom winna posłuszeństwo tej, która była mi i jest matką... Mówcie z nią o tem nie ze mną... niech uczyni co chce, ja jej będę posłuszną...

któ więcej o tem się dowie, jeżeli słowem zdradzisz mnie... napiszesz na siebie wyrok śmierci...

I znowu powtórzył z wyrazem jakiegoś gniewu: Śmierć! Śmierć!

To mówiąc rozwinął płaszcz, a w rękę jego błysnął sztylet, który natychmiast połą narzucił... okrył się po oczy i milczał.

Hela blada jak trup, stała, choć chciała uciec co ry-



...biorąc rękę męża i całując ją z uszanowaniem niewolnicy... (str. 145).

Mężczyzna popatrzał na nią z wyrazem jakiegoś gniewu, prawie obrzydzenia, ale razem ciekawie i śledząco... coś go do niej ciągnąć się zdawało i odpychać razem.

— Masz waćpanna słuszność — zawołał — przyslij mi tu jutro matkę twoją... Ja do was przyjść nie mogę...

— Mamże jej to powtórzyć coście mi mówili?

— Wszystko... ale pamiętaj, dziewczyno — dodał — jeżeli

chleję... nogi jej drżały, a wyraz tych oczów przykuwał ją do miejsca.

— Jutro rano, tu... pamiętaj! — Zarzucił płaszcz na ramię i szybko pobiegł w szpalery...

Hela bez tchu prawie leciała do domu, na wschody, otworzyła drzwi ostatniem wysileniem i upadła u nóg Ksawerowej słowa wymówić nie mogąc. Szczęściem mała Julka spała.

Przerażona wdowa podniosła ją, jęła rozpytywać, uspokajać, badać, ale nierychło potrafiła zrozumieć.

Czuła tylko, iż tej drogiej Heli grozi niebezpieczeństwo, i przyrzekła, że pójdzie nazajutrz... choćby na drugi

koniec świata, zakławszy tylko ją, by krokiem nie ruszała się z domu. Domyśliła się Ksawerowa łatwo, że tajemnica okrywająca urodzenie Bezimiennej... odzywała się w tem zagadkowym spotkaniu i groźbach.

(C. d. n.)

D O S T R Z E C H Y.

O Rus, quando ego te aspiciam!

Hořac.

Z wygnańców ziemi, gdzie pamiątka kraju
 Jedyną starca pociechą,
 Kolebko Piasta, lat młodzieńczych raję,
 Witaj mi, rodzinna Strzecho!
 Choć siostry we łzach, bracia w poniewierce,
 Po całym świecie tułacze,
 Choć rozum przeczy, wciąż mi mówi serce,
 Że kiedyś ciebie zobaczę!

O, ja cię widzę, mój zakątku żyzny,
 Świetny w majowej ozdobie;
 Bom uniósł w duszy, jakby cień ojczyzny,
 Wieczne wspomnienie o tobie!
 Wygnaniec dawny, dzieckiem już sierota,
 Widzę ten domek uroczy,
 Gdzie cicha brzoza kryje próg i wrota
 Cieniem wiejących warkoczy...

Po klęskach tylu, niema ta strażnica
 Chciała ci wierną pozostać,
 I nocnym blaskiem srebrząc się krynica
 Kąpie dziewiczą jej postać!...
 Dokoła niwa w sennej łśni powłóce...
 Na starym dębie, na czatach,
 Poważny bocian w gnieździe swem klekoce
 Coś niby o dawnych latach...

Tam, za lipami, co na wzgórzu siadły
 Gwarząc, jak kuma przy kumie,
 Kościółek wiejski, w trawę w pół zapadły,
 Bieli się w tęsknej zadumie...
 Lecz w tym kościółku jest samotny kątek,
 Gdzie mego rodu ostatki...

Tam dla mnie żyje cały świat pamiątek,
 Tam leżą zwłoki mej matki!
 A kiedy błysną nad ruczajem zorze,
 Zwiastując wschodzący dzionek,
 Modlitwy śpiewem całe brzmi przestworze,
 I Boga chwali skowronek!
 U progu chaty, skoro dzień zaświeci,
 Gdy w pole wyszli rolnicy,
 Pracują starce, kwiat zbierają dzieci
 Na ołtarz Bogarodzicy!

O polska strzecho! pod bluszczowym wieńcem,
 Tyś jest obroną Zachodu,
 Tyś mię poznała dzieckiem i młodzieńcem,
 Z ludem, tą siłą narodu!
 Dla nas, tułaczy, słońce gdy ściemniało,
 Żywym cię zdobi promieniem;
 Bo dach słomiany jest ojczyzny chwałą,
 Prawych jej synów ochronieniem!
 Jam też ukochał, pod jaśniejszem niebem,
 Olbrzyma kmiecia w siermiedze,
 Którego ręka, świat karmiąc chlebem,
 Świadczy o kraju potędze!
 Gdzież się podziały zamki te z kamienia,
 Pyszne siedliska naddziadów?
 Czas je nachylił, w gruzy wróg zamienia...
 Dziś niema nawet i śladów!...

Te, jak świątynie wśród Warszawy szańców,
 Z cara przekłętą wszechmocy,
 Są dziś katownią, piekłem dla powstańców,
 Lub gniazdem sępów Północy!

Gdzie kwitło życie, dziś pustynie, groby,
 Krwią obryzane ołtarze...
 Zniszczenie, rozpacz, głośny jęk załoby,
 Na całym polskim obszarze!...

Ty jedna tylko, ty lepianko błoga,
 Gdy wróg nam grozi zagładą,
 Zwycięzko stoisz pod opieką Boga,
 Z piastową twoją gromadą!
 Z pozoru wąż, lotry cię nie mogą
 Zruszyć z ojcowskiej dzielnicy;
 Bo ty nie wzywasz w pomoc już nikogo,
 Prócz wiernej ludu prawicy!

To też na tobie przyszłość się opiera...
 W starciu dwóch różnych żywiołów,
 Gdy wśród zepsucia dawny świat umiera,
 Ty sama wstaniesz z popiołów!
 Tyś nieśmiertelna... wróg wie dobrze o tem;
 Więc zawiść kryjąc szyderstwem,
 Chciałby cię skusić swem skradzionem złotem,
 Kłamanem spodlić braterstwem!

Jak wilk ów groźny nad brzegami Niemna,
 O którym prawią nam starzy,
 Kraj nasz pustosząc, zgraja ta nikczemna
 Przyjaźnią synów twych darzy!
 O, car ten nie wie, bo się prawdą brzydzi,
 Jak między Dnieprem i Wartą,
 Klnie go lud polski, jak go nienawidzi,
 Piętnuje hańba niestartą!

Za miast pożogi, za codzienne mordy,
 Rozsiane po stepach kości,
 Za wszystkie zbrodnie tej zbójckiej hordy,
 Depczącej prawa ludzkości!
 Nastraszyć królów, zwieść ich dyplomatów,
 Umieją carscy kuglarze;
 Lecz lud nasz zbratać z tem plemieniem katów,
 Tego sam czart nie dokaże!

Panslawizm Moskwy, smocze jej uściski,
 Po katakombach pogańskich,
 Dla etnografów to sromotne zyski,
 To śmierć dla rodów sławiańskich!
 O bracia Czesi! głos mój skrå piorunów
 Nie dla was chcę tu rozpałać;
 Lecz dla przedajnych mędrców i trybunów,
 Chcących was uwieść i skalać!

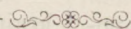
Gdy kilku zdrajców z tą gawiedzią hardą
 Ucztuje w murach Warszawy,
 Nasz kmieć, z pod strzechy, patrzy się ze wzgardą
 Na tak bezczelne zabawy!
 Bo choć był jeńcem na zagonie własnym,
 I wieki przeżył w pomroku,
 W nim słowo boże lśni promieniem jasnym,
 Jak słońce skryte w obłoku...

Strażnico wiejska! ludu te uczucia,
 Dziewicze jego natchnienia
 Przechowaj święcie, zasłoń od zepsucia,
 Od powszechnego zwątpienia!
 Męczeństwem wielka i swobody duchem,
 Którego ucisk nie zmniejsza,
 Powstanie Polska, zbrojna swym łańcuchem,
 Jak kiedykolwiek piękniejsza!

Tak mówił Czacki w życia dniach ostatnich...
 I ja też w rodzinnem gnieździe,
 Chcę z matką spocząć, wśród popiołów bratnich,
 Pod ziemią polską, w Ujeździe!
 Zanim po krwawej bliskich walk ofierze,
 Odżyje wolności słońce,
 Bodaj pod strzechą, w tej niezgasłej wierze,
 Wzrastali kraju obrońce!

1868.

Krystyn Ostrowski.



KAPLICA BOYMÓW CZYLI OGROJCOWA WE LWOWIE.

Kaplica Boymów stoi zaledwie półtrzecia wieków. Jak na dzieło sztuki architektonicznej, a zwłaszcza gdy się obejrzymy na nasze gotyckie, średniowieczne świątynie, czas jej istnienia nie jest jeszcze zbyt długim. Bądź co bądź jednak, półtrzecia wieków to czas, który łatwo wymówić, ale nie tak łatwo myślą ogarnąć, i nielada cześć należy się staruszkowi, które wiek tak sędziwy dźwiga na swoim grzbiecie. Półtrzecia wieków! Ileż to burz przetrwał ten pomnik, ile on zmian pamięta, ile to pokoleń u jego stóp wzrosło! Był on świadkiem brzemiennej w wypadki epoki. Ostatnie półtrzecia wieków to historia największej miasta Lwowa świetności i jego największych nieszczęść, jego sławy i jego upadku. Toż chociaż kaplica Boymów nie sięga swoim początkiem w czasy najdawniejszej Lwowa przeszłości, dość jednak przetrwała, aby sobie na takie samo, jak inne z przeszłości pamiątki, zasłużyć poszanowanie.

Z biegiem czasu ciągle i ciągle zmienia się w około nas wszystko. Gdyby wstali z grobu ci, co już nie przed półtrzecia wiekami, ale przed stu laty mieszkali we Lwowie, aniby go nie poznali. Zagięły ślady dawnych murów z basztami i wałów fortecznych, tysiące nowych gmachów zajęły miejsca starożytnych budowli, powstało mnóstwo nowych placów, ulic, przedmieść; a to, co przypadek lub los zachował od zagłady, przyodziło się w nową szatę, pod którą trudno poznać staruszka.

Z biegiem czasu zmieniają się też ludzie, zmieniają się pojęcia i wyobrażenia. Wszystko, wszystko się zmienia, zaciera, przerabia nie do poznania; i na tej drodze powszechnego pochodzenia naprzód, ku nieznanemu celowi, niewiele tu i ówdzie zostaje pomników, coby nam jak kopce graniczne wskazywały ów szlak, którym przeszłość dążyła ku przyszłości.

Pomniki te jednak są dla nas nieskończenie ważne. Gdybyśmy chcieli zajrzeć oczyma duszy w przeszłość naszą, odtworzyć ją w wyobraźni, pojąć i zrozumieć to, co na kartach dziejów spisano, byłoby to prawie niepodobiestwem, gdybyśmy tych drogoskazów nie mieli; po nich zaś, krok za krokiem, z łatwością dojść możemy do pożądanego punktu. Uratowane od zagłady lub przerobienia na krój późniejszy pomniki sztuki, milczące świadki naszej minionej wielkości, najlepiej pouczyć nas mogą o pojęciach, wyobrażeniach i ukształceniu umysłowym naszych przodków, a często przypominają także najważniejsze wypadki dziejowe. Zasługują też nietylko na największe poszanowanie, na najtroskliwszą opiekę, ale oraz, a podobno przede wszystkim na to, aby je znano.

Jednym z takich pomników jest kaplica Boymów, mało znana nawet samym Lwowa mieszkańcom, bo nikt dotąd pilniejszej na nią nie zwrócił uwagi, nigdzie dotąd dokładnie opisaną nie była, a nawet jest prawie niedostępna, bywa bowiem otwierana tylko kilka razy do roku, podczas niektórych uroczystości.

A jednak jest to jedna z najpiękniejszych tutejszych budowli i tem jeszcze się wyszczególnia, że bardziej niż każda inna Lwowa świątynia obfituje w zabytki dawnej naszej a rodzinnej sztuki, sztuki kámieniarskiej.

O dawnych czasach mówi wiele tak jej historia, jak i samo wykonanie. Wystawiona i uposażona przez mieszczanina lwowskiego, zasłużonego w mieście obywatela, przedstawia w swoich szczegółach takie bogactwo myśli, tak pochlebnie świadczy o zdolnościach artysty, który ją wykonał, że mimowoli tu i ówdzie szukamy okiem jego podpisu, aby się dowiedzieć, kto jest twórcą tego arcydzieła.

Za dawnych czasów miasto Lwów było przybytkiem i ostoją dla wielu cudzoziemców, którzy raz osiadłszy tutaj i przyjąwszy prawo obywatelstwa, wkrótce przez stosunki i związki rodzinne tak się zespalali z resztą ludności, że już w drugim pokoleniu zacierał się zupełnie ślad ich pochodzenia. Stawali się Lwowianami i Polakami duszą i sercem, a często nawet i nazwiska zmieniali stosownie do wymowy miejscowej. Rodzina Boymów przybyła do Polski z Węgier, a osiadłszy we Lwowie spólaczała wkrótce. Wydała ta rodzina po przeniesieniu się do Polski kilku znakomitych i zasłużonych mężów. Jerzy Boym, który z żoną swoją Jadwigą z Niziowskich fundował kaplicę ogrojcową był sekretarzem króla Stefana Batorego. W młodości wysłany przez ojca na nauki do Bononii, uniesiony lekkomyślnością, tracił czas bezpożytecznie, a skoro powziął wiadomość o śmierci ojca, natychmiast wracać do domu postanowił. Ale jak mówi podanie, ukazał mu się we śnie cień ojca i upomniął go, aby zaniechał złego zamiaru i aby nie wracał do kraju, póki tyle nie postąpi w naukach, aby za powrotem mógł być ziomkom swoim użytecznym. Wypadek ten takie sprawił wrażenie na młodym Jerzym, że nietylko pozostał w Bononii, ale nadto ślubował, że na pamiątkę swego widzenia wystawi we Lwowie kaplicę Męki Pańskiej.

Długie lata minęły zanim ślub ten mógł być spełniony. Liczne prace i obowiązki, które za powrotem do kraju podejmował już jako sekretarz królewski, już jako radny w mieście rodzinnem, opóźniały spełnienie uczynionego w młodości wotum; aż nakoniec doczekawszy szczeg-



KSYL. F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.

FOT. JÓZEF EDER WE LWOWIE.

Kaplica Boymów czyli Ogrojcowa we Lwowie.

śliwie sędziwej starości, dotrzymał swego przyrzeczenia, pragnąc zarazem uwieńczyć resztę chwalebego i zasłużonego żywota dziełem czci bożej poświęconem. Pokonawszy jeszcze wiele przeszkód pobocznych, z którymi w ostatniej chwili walczyć mu przyszło, nakoniec w r. 1610 zabrał się do budowy. Ale ponieważ chciał wystawić przybytek odpowiedni okazałości archikatedry, obok której miał stanąć, jakoteż innych świątyń, które podówczas Lwów ozdabiały, wypadło mu naprzód obejrzeć się za biegłymi w sztuce mistrzami, którzyby godnie myśl jego wykonali. Nie ufając zaś architektom lwowskim, udał się do stolicy kraju, do Krakowa, i Januszowi Głuskiemu, herbu Ciołek, akademikowi krakowskiemu poruczył nakreślenie planu, a Minie, także krakowskiemu kamieniarzowi, wykonanie na kamieniu rzeźb, mających ozdobić kaplicę. Nie szcędząc trudów i starania, nie szczędził też i kosztów, jakich oczywiście wymagało wzniesienie takiego gmachu, iłożył z równą hojnością tak na odpowiednie wynagrodzenie mistrzów, jakoteż na zakupno najlepszego materiału. I tym sposobem powstała budowa okazała, zachwycająca po dzień dzisiejszy wdziękiem i artystycznym wykończeniem.

Kaplica ogrojcowa styka się z kamienicami kapitulnemi, i to jest powodem, że jakkolwiek zaleca się i rozmiarami i piękną formą, nie sprawia należytego wrażenia, tak że niejednen czytając ogłoszenia i afisze rozlepiane na murze narożnym od ulicy halickiej, nie pomyśli nawet, że stoi przed jednym z najpiękniejszych pomników Lwowa, chociaż tuż obok tychże afiszów znajdują się na murze dwa malowane *al fresco* starożytne i mocno już nadpsute portrety fundatorów, Jerzego Boyma i jego żony.

Na północnej ścianie kaplicy widzimy także dwa bardzo dawne i zapewne nie raz przemalowane obrazy *al fresco*, przedstawiające pana Jezusa Miłosiernego i Matkę bolesną, nad nimi zaś tkwi w ścianie płaskorzeźba kamienna większych rozmiarów, wyobrażająca św. Jerzego zabijającego smoka, według słów opowiadanej powszechnie o tym Świętym legendy; widać tu bowiem i królową, która miała dać się pożreć potworowi, i zamek, z którego wyszła na jego spotkanie.

Najpiękniejszą ścianą kaplicy ogrojcowej jest jej facyata frontowa, zwrócona ku zachodowi, właśnie od strony najmniej uczęszczanej, pomiędzy archikatedrą a kamienicami kapitulnemi. Jest cała wyłożona najśliczniejszą rzeźbą z ciosowego kamienia, godną ze wszech miar, aby się w niej bliżej rozpatrzono. W środku znajdują się drzwi żelazne pięknej roboty z okrągłym łukiem, a po obu ich stronach okna podwójne z takiemiż łukami, sięgającemi po wysokość łuku drzwi. Pomędzy filarami, okrytymi wielce misterną rzeźbą, stoją w niszach, odpowiadających rozmiarom okien, posągi św. Piotra i św. Pawła. Nad łukami nisz, okien i drzwi jest ośm owalów podłużnych z pięknie wyrzeźbionymi popiersiami Ojców kościoła. Wyżej na gzym-

sie okrytym rzeźbą równie delikatnego jak poprzednie dłuta, znajduje się znowu ośm owalów pierwszym odpowiadających, z napisami z pisma św. W drugiej, wyższej części facyaty jest w środku wielka rzeźba kamienna, przedstawiająca Zdjęcie z krzyża. Po bokach tejże są dwie rzeźby pomniejsze, oddzielone od pierwszej filarami i ramami pięknie powyginanemi, a przedstawiające Chrystusa dźwigającego krzyż i Ukrzyżowanie. Resztę wolnego miejsca pomiędzy temi rzeźbami zajmują kolumny z pięknie wyrzeźbionemi piedestałami, i cztery grupy Świętych pańskich po trzy osoby, w środku misternie wykowanych rzeźb i arabesków, odznaczających się nietyle drobiazgowością, ile raczej pięknoscią i czystością rysunku. Również pięknie wyrzeźbiony jest architron, stanowiący od góry ramę tej cudnej mozaiki. Powyżej stoi krzyż z rozpiętym Chrystusem, oparty o wielki pierścień kamienny. Wspaniała rotunda ma na wierzchu okrągłą wieżyczkę, z sześciu oknami rzucającemi światło wewnątrz; wieżyczka przykryta jest kopułą, a na szczycie jej tkwi krzyż wyniosły, pod którym posąg kamienny Pana Jezusa Miłosiernego naturalnej wielkości. Na gzymsie dokoła kopuły jest napis łaciński na cześć Niepokalanej Bogarodzicy.

Wnętrze kaplicy ogrojcowej odpowiada jej okazałości zewnętrznej. Ołtarz jest kolosalnych rozmiarów, podobnież cały wykowany z ciosowego kamienia, i składa się z dziesięciu wielkich rzeźb, przedstawiających głównejsze ustępy męki i chwały Zbawiciela. Największa i najgłówniejsza rzeźba środkowa przedstawia Chrystusa modlącego się w Ogroju pod cieniem drzew; anioł podaje mu kielich, z prawej strony grupa uczniów śpiących. W dole jest mała płaskorzeźba przedstawiająca Wieczerną pańską, ale nie tak jak ją zwykle malują, bo Chrystus i uczniowie nie siedzą tu, lecz stoją, w ubiorze podróżnym i z laskami, według mojżeszowego przepisu. Po obu stronach pierwszej rzeźby są dwie inne: Wieczernia pańska, już tak jak zwykle przedstawiana, i Umywanie nóg. Nad nimi jest Ukrzyżowanie i Złożenie do grobu, powyżej Zmartwychwstanie i Wniebowstąpienie, pomiędzy nimi zaś Chwała Pańska w niebiesiech i Tryumf Baranka Bożego, Trójca św. i jeszcze osobno, już na kopule, Chrystus błogosławiący.

Całość sprawia nawet na nieznanicy niepospolite wrażenie. Kompozycja części pojedynczych zaleca się śmiałością, a związanie ich w całość jest bardzo dobrze obmyślane i zręcznie wykonane. Rysunek piękny i czysty zaleca się okrągłością form, a w każdym rysie podziwiać trzeba dłuto delikatne i wprawną rękę biegłego artysty. Niektóre części były powleczone kolorami i złotem, nawet dziś jeszcze widać tego ślady wyraźne na rzeźbie środkowej. Zresztą wszystko zachowało naturalną barwę kamienia.

Nakrywająca ściany kaplica wspaniała, półkulista rotunda, przyozdobiona jest trzema rzędami popiersi rzeźbionych, przedstawiających patronów rodziny fundatorów, ustawionych w pośrodku licznych rzeźb i sztukateryi, a okna z wieżyczki wystającej nad rotundą, obfite rzucają wewnątrz światło.

Przechodzimy do nagrobków. Po lewej stronie ołtarza jest nagrobek z czarnego marmuru. Po środku postać Matki bolesnej z Chrystusem na łonie, wykowana z żółtego marmuru. Obok fundatorowie w kłęzącej postaci, także z żółtego marmuru, a powyżej jeszcze kilka kłęzących figur, przedstawiających zapewne innych członków ich rodziny.

Na tym nagrobku są dwa następujące napisy*) poświęcone pamięci fundatora i jego syna sławnego lekarza; na niższej tablicy: „Kaplicę tę Jerzy Boym z Węgier, nawrócony z wiary heretyckiej do katolicyzmu, obywatel i radny w mieście tem dobrze zasłużony, własnym nakładem krzyżowi poświęcił; w krzyżu Chrystusa dla żywych dom modlitwy, dla zmarłych grobowiec, dla siebie i swoich mieć chciał. Umarł w 81 roku życia d. 22 września roku pańskiego 1618.“

Na drugiej wyższej tablicy tegoż nagrobku czytamy: „Tu Paweł Jerzy Boym, mąż nauk i cnót wielu, radny, sę-

dzia, lekarz, fizyk, niestety! niegdyś postrach chorób, teraz proch i popiół, roku zbawienia 1641 dnia 20 grudnia w 60 roku życia wszystkich wzdychających za nim pozostałych opuścił.“

Pod tą samą ścianą nieco opodal jest tablica marmurowa z portretem mężczyzny poświęcona pamięci dobroczyńców kaplicy.

Nad drzwiami wisi portret olejny fundatora w całej postaci, malowidło bardzo cenne, z napisem: „Jerzy Boym, sekretarz króla Batorego, stolicy ruskiej radny, gdy żył, taką jak widzisz miał twarz i oczy. Starożytnego rodu, bogobożnością, sprawiedliwością, wiernością i radą znakomity, tu w ogroju Chrystusa krwią świętą zroszonym pogrzebany, który za życia sztuką Praksytelesa i Dedala, jak ołtarz ten i budowa poświadcza, założył i hojnie uposażył. Tak tedy ten, co był twórcą tego ogrodu, stał się szczerem niebieskim w 71 (81) roku życia.“

Na ścianach kaplicy są zresztą jeszcze dwa obrazy: Św. Jan Kanty, obraz bardzo stary, malowany na drzewie, i św. Elżbieta. Obadwa te obrazy były niegdyś w ołtarzach środkowych archikatedry, zkąd podczas ogólnej restauracji tego kościoła za arcybiskupa Sierakowskiego uprzątnięte zostały.

STAN. NOWIŃSKI.

WSPOMNIENIE

O

MIECZYŚLAWIE ROMANOWSKIM.

Wielu jest powołanych, ale niewielu wybranych.

Wielkie i nader bolesne są bez zaprzeczenia straty, o które nieszczęśliwą Polskę przypawiło ostatnie, rozpaczą wywołane powstanie; żal srogi zalewa serce na samą myśl o tylu drogich ofiarach, które naród, wydany sromotnie na pastwę barbarzyństwu, poświęcił jak abrahamowe całopalenia za wolność własną i całej ludzkości; — ale jeźli na świeżym tym mogilniku narodowym znalazłby się niejeden grób, mający prawo do czci i żałoby całej Polski, to zaprawdę jednym z najgodniejszych tej nagrody będzie pomiędzy niemi ten, w którym mieszczą się zwłoki drogiego ziomka naszego, młodego bohatera-poety *Mieczysława Romanowskiego*.

Mało komu na świecie dano jest wznieść się własną zdolnością i potęgą ducha nad poziom codziennego życia; jestto przywilej istot wyjątkowych, wyższych całym światem od swojego otoczenia, a które Opatrzność umyślnie

wybiera na to, ażeby odczuwszy w sercu swoim wszystkie pragnienia, wszystkie bole wieku, kochały też i cierpiały za wszystkich. Taką istotą wybraną w całym znaczeniu tego wyrazu był ś. p. Mieczysław.

Już od pierwszych lat młodzieńczych, kiedy inni rwą się do świata z uśmiechem na ustach, z pragnieniem szczęścia w sercu, krajała czoło jego w bruzdy myśl poważna i wielka, a dusza jego pełna boskiego natchnienia stroiła się jak arfa do cherubinowej pieśni miłości i poświęcenia dla tej, którą ukochał nadewszystko, dla najdroższej patronki swojej i oblubienicy — ojczyzny. I w istocie też było całe jego życie, acz krótkie niestety, jedną — że tak powiemy — wielką pieśnią na cześć tej męczennicy, pieśnią — która jak wiosenny hymn skowronka rozlewała się czarownemi dźwiękami nad ziemią sierocą, a którą los okrutny przerwał właśnie w tedy, gdy zachwycony piewca zaczynał już dobierać najwznioślejszych akordów natchnienia. Ale chociaż pieśń ta nie została dokoń-

*) Tak te, jak i wszystkie inne napisy są w języku łacińskim.

czoną, chociaż urwała się w połowie bolesnym jękiem jak struna pękająca pod ręką mistrza, nie straciła ona przeto nic na swojej wartości, bo ci, którzy zrozumieli jej początek, zdołają sami dośpiewać ją w duszy do końca choćby tylko echem tego jęku, którem zadrgało bez wątpienia każde serce polskie.

Nie mamy zamiaru skreślać tu dokładnego życiorysu poety; uczynili to w swoim czasie inni, znający go bliżej koledzy i przyjaciele, a pisma jego są już niezawodnie tak dobrze znane publiczności polskiej, że byłoby zbytecznym mówić cokolwiek jeszcze na ich pochwałę. Chcemy tylko wyjaśnić czytelnikom naszym znaczenie pięknej, aczkolwiek smutnej treścią swoją ryciny, którą obdarzył nas znakomity ołówek p. Fr. Tepy, a która ma uprzytomnić nam bolesną stratę, poniesioną przez zawczesny—choć prawdziwie bohaterski zgon tego nieodżałowanego młodziana.

Mówiliśmy już, że ś. p. Mieczysław kochał nadewszystko ojczyznę; ona była zawsze najświętszym przedmiotem jego poetycznego natchnienia; w niej i dla niej tylko żył

Lećcie me pieśni! niech wam towarzyszy
Szczęśliwa gwiazda pod gościnne strzechy.
Zwiastujcie burzę wśród gniożącej ciszy,
Smutnych pozdrówcie dźwiękami pociechy;
Lećcie, witajcie ludzi po kolei
Jak ptactwo wiosny okrzykiem nadziei.

Może już innych pierś ma nie wyśpiewa,
Może wy natchnień ostatnim wyrazem!...
Dni piorunowych serce się spodziewa,
Ztwardniała ręka tęskni za żelazem;
W powietrzu słychać pobudkę na boje!...
Już czas! już czas nam! — Lećcie pieśni moje!

I od wyśpiewania tej pieśni upłynęło zaledwie kilka miesięcy — jeszcze w sercach przyjaciół drgało smutne echo jej dźwięków, a już cios ręki barbarzyńskiej oniemił na wieki natchnione usta kochanego piewcy.

Wypadki warszawskie w r. 1861 i następne powstanie w Królestwie wywierały wpływ elektryzujący na każde serce polskie; czuliśmy go wszyscy, zarówno młodzi jak i starce, i rycerski duch narodu, przywiedzionego do rozpaczki tyraństwem moskiewskich katów, rwał się z nową nadzieją do krwawych poświęceń i ofiar. O ileż potężniejszym musiało być działanie tych wypadków na serce tak wzniosłe, na umysł tak wrażliwy, jak ś. p. Mieczysława! To też każdy jęk upadającej pod krzyżem męczennicy, każde tętno bolejącego serca Polski, odbijało się stokrotnem echem w jego łonie i pieśniach; a gdy nadeszła pierwsza wieść o heroicznym powstaniu, nie znały już myśli jego i życzenia innego celu, jak tylko uderzywszy na pobudkę pochwyć miecz temistoklesowy i pospieszyć w szeregi walczącego o byt swój narodu.

on, bolał i pracował, i zawsze też było najgorętszem jego życzeniem, stwierdzić tę nieograniczoną miłość dla niej jakimś aktem wielkim, choćby nawet ofiarą własnego życia.

„Wielkie winy — mawiał — dadzą się zmazać tylko wielkimi ofiarami, a zmartwychwstanie okupuje się tylko życiem.“ Rówieśnicy jego i przyjaciele, przed którymi otwierało się to szlachetne serce, którym powierzał swoje marzenia, bywali nieraz świadkami podobnych wynurzeń poety; a w niektórych pieśniach jego, osobliwie z ostatnich dni życia, przebija się całkiem wyraźnie wieszczce przeczucie takiego ofiarnego zgonu, które niestety zbyt prędko miało zamienić się w rzeczywistość.

Kto zna ostatni poszyt jego poezyj, wydany w r. 1863*), przyzna, że większa ich część została utworzoną w podobnem nastrojeniu duszy; tym zaś, którzy ich nie czytali jeszcze, dość będzie poznać jedną tylko, umieszczoną przy samym końcu poszytu, a którą możnaby niejako uważać za testament, za rozporządzenie ostatniej woli poety. Oto dosłowna treść tych pożegnawczych zwrotek:

O! gdyby kiedyś, po złamaniu wroga,
Polskiej krainie zaśpiewać na chwałę!...
Żegnajcie pieśni!... Przyszłość w rękę Boga —
Z sztandarów w pole patrzą orły białe;
Wrzącym strumieniem krew po żyłach bieży,
Łono przebiega dreszcz, lecz serce wierzy.

Jeśli polegnę, niechaj mi w nagrodę
Za was nie kładą pamięci kamienia.
Ziemią niech piersi przysypią mi młode;
Mój kurhan niech mi trawa ozienienia,
A gdy majowy deszcz ten kurhan zrosi,
Niech nad nim ptak się, jak mój duch unosi.

Przez jakiś czas udawało się przyjaźni, trwożnej o życie poety tak drogie ojczyźnie, wstrzymać szlachetny jego zapal; ale gdy z początkiem roku 1863 wzmógł się nanowo entuzjazm powstania — osłabiony przedtem nieco ciężkimi klęskami, i gdy we wszystkich ziemiach polskich zaczęły się organizować świeże wyprawy do Królestwa: straciły już moc wszelkie uwagi i zakłęcia zimnego rozsądku, i szlachetny młodzian uważając dalszą bezczynność za zbrodnię względem ojczyzny, wyrwał się z najtkliwszych objęć miłości i przyjaźni, i pośpieszył dać czynem świadectwo prawdzie, której był tak gorliwym wyznawcą i apostołem.

Dostawszy się szczęśliwie z kilkoma przyjaciółmi za kordon, przyłączył się w Lubelskiem do oddziału Lelewela, którego wielce szacował i kochał, i pełniąc przy jego boku służbę adjutanta brał przez kilka miesięcy udział w licznych utarczkach partyzanckich, będąc dla wszystkich

*) Poezycie M. Romanowskiego, Lwów 1863, nakładem K. Wilda.



UTWOR I RYSUNEK FIAM. TEPY.

ZGON MIECZYSLAWA ROMANOWSKIEGO.

KSTL. BRENU/AMUR. DUSSELDORF.

najwznieślejzym przykładem waleczności i poświęcenia. Ale w księdze wyroków był już naznaczony bliski kres tego pięknego żywota, i prędzej niż przypuszczać było można, nadeszła chwila spełnienia się krwawej ofiary. Dnia 24. kwietnia 1863 r. otoczyły obóz Lelewela w lasach pod Józefowem ze wszech stron przeważne siły moskiewskie. Odwrót bez walki był niepodobnym, i powstańcom nie pozostawało nic innego, jak tylko przebojem uderować sobie drogę przez zastępy nieprzyjacielskie. Rozpoczął się tedy zacięty bój o śmierć lub życie; młody nasz bohater walczył przez cały czas z nieustraszonem mężstwem w pierwszym szeregu; i już się zdawało, że zimna dłoń śmierci nie dosięgnie jeszcze tą razą tej szlachetnej skroni, gdy niestety prawie już przy końcu walki przeszywa mu kula nieprzyjacielska piersi i złamanego śmiertelnym bolem powala w jednej chwili na ziemię. I ten to rozdzierający serce widok jego pasowania się ze śmiercią przedstawia rycina p. Tepy.

Upadek jego nastąpił tak nagle, że z kolegów nawet mało kto go dostrzegł; ale i ci, którzy widzieli, tak byli zajęci obroną własną, że o niesieniu pomocy ranionemu nawet pomyśleć nie mieli czasu. Jeszcze chwilę potem trwał bój rozpaczliwy; oddział Lelewela został rozbity i rozprószył się na wszystkie strony, a nieszczęśliwy Romanowski tymczasem, wycieńczony bolem i krwi upływem, dogorywał samotnie — bez żadnego ratunku wśród lasu. Ale na tem nie skończyły się jeszcze jego męczarnie, gdyż po zakończeniu walki wpadli carscy oprawcy na pobożowisko, i na chwałę wielkiego protektora wszechsłowiańszczyzny zamiast nieść pomoc rannym powstańcom, pomordowali z miłości chrześcijańskiej wszystkich, a między nimi i ś. p. Mieczysława, pastwiąc się prawdziwie po bestyalsku nad trupami nawet.

I gdy w kilka godzin potem, po ustąpieniu dziczy z tej okolicy, zebrały się szczątki rozbitego oddziału polskiego i udały na plac boju dla odszukania poległych — jakież okropny widok przedstawił się ich oczom! Na takie barbarzyństwo nie zdobyłyby się nawet najdziksze hordy australskie. Wszystkie ciała — odarte do naga — tak były podziurawione i sromotnie oszpecone, że zaledwie rozpoznać je było można; a najokropniej ze wszystkich sponiewierane były drogie zwłoki Romanowskiego, na którym Moskale w mniemaniu, iż to sam dowódca oddziału,

całą wściekłość swoją wywarli. Ale spuśmy zasłonę na ten straszliwy obraz bezceńności, na której samo wspomnienie wzdryga się cała natura ludzka! W taki to sposób spełniła się owa wielka ofiara, o której przez całe życie marzył poeta: — oddał on ojczyźnie wszystko, co miał najdroższego, a czysty duch jego, który na ziemi tak rozgłośnie śpiewał chwałę Polski, orędowniczy teraz w krainie wieczności jako jeden z jej patronów przed majestatem Wszechmocnego.

Ziściło się też najzupełniej życzenie, które wyraził w piosnce swej pożegnawczej: zwłoki jego spoczęły na polu chwały, w cichem ustroniu, wśród śpiewaków leśnych, którzy mu jak najmiłszemu druhowi nucają hymn pochwalny; młode piersi jego przysypano tą ziemią świętą, za którą dał krew serdeczną, a która — jak deszczem majowym — zroszona łzami jego kolegów i przyjaciół zazielenia się bujną trawą co wiosny; a chociaż mogiły jego — jak tego sam pragnął — nie zdobi żaden kamień pamięci, wznosi się przecież na cześć jego pomnik nierównie trwalszy i piękniejszy we wszystkich sercach, które go kochały, i w których pamięci jaśnieje zawsze postać jego z podwójną aureolą jako bohatera i wieszczą narodowego.

Jak bolesne wrażenie sprawiła w kraju wieść o jego zgonie, nie potrzebujemy mówić; strata zanedo jest wielka i świeża jeszcze, by żal po niej mógł zatrzeć się tak prędko; a wręcz wymowny wyraz tego żalu znaleźć można we wszystkich ówczesnych pismach polskich, które mogły tylko oddać zasłużoną cześć pamięci młodego poety. Wszakże jedna okoliczność zasługuje tu jeszcze na wzmiankę. Za staraniem przyjaciół i wielbicieli ś. p. Mieczysława Romanowskiego odprawione zostało w maju roku 1863 w jednym z kościołów lwowskich żałobne nabożeństwo za jego duszę; wszyscy, którzy brali w niem udział, wiedzą, z jaką uroczystością odbył się ten akt religijny; ale zapewne mało komu znanym będzie ów najpiękniejszy wyraz uznania, jakim przy tej sposobności uczciło pamięć poległego natchnienie najstarszego dziś wieszczą polskiego W. Pola, a którym też — zdaje nam się — najgodniej zakończymy tych kilka kartek, poświęconych wspomnieniu naszego drogiego ziomka i kolegi.

Wiersz ten, złożony niejako na katafalku zmarłego poety, opiewa:

PAMIĘCI

MIECZYŚŁAWA ROMANOWSKIEGO

W DNIU NABOŻEŃSTWA ZA DUSZĘ JEGO.

Duchowych natchnień Synu! wierne Polski dziecię,
Jako czułeś gorąco — takeś się w bój rzucił —

Ducha wylałeś w pieśni — krew ziemiś powrócił,
Więc czegoż jeszcze wy po nim płaczecie?

Był młodzian dwóch wieńców — daj mu Boże trzeci!
I niechaj wiekuista światłość duszy świeci!
Złóćcie ze czią dwa wieńce na pocziwym grobie,
I niech się nad nim słowik w ciszy lasów żali;
On się dobrze zasłużył — więc powiedźcie sobie:
W ślad dobrze zasłużonych nam potrzeba dalej...

O tak — idźmy w te ślady, a im więcej przykład taki znajdzie naśladowców, tem prędzej na dziejów zegarze } wybiję godzina sprawiedliwości, której wiek cały już na-
próżno oczekujemy.

FR. WALIGÓRSKI.

BIALI I CZARNI.

POWIEŚĆ Z ŻYCIA LITEWSKIEGO.

SKREŚLIŁ JAN SYGMA.

(Ciąg dalszy.)

— A to zuchwałość — odrzekł sekretarz — zuchwałość niesłychana! Co on sobie myśli?

— Zanim da nam lekcję — rzekł Hryhorjew — my go wprzód nauczymy, co to zaczepiać się z policją i co może policya. Pisz pan — rzekł — raport do sprawnika, ja dyktuję.

Sekretarz ułożył papier, poprawił pióro i oznajmił, że gotów do pisania.

Hryhorjew dyktował:

„Do Jaśnie Wielmożnego Pana kapitana sprawnika, przystawu 2go stanu.

Raport.“

— Napisałeś pan?

— Już.

— Dodaj pan u góry: „Bardzo ważny.“

„Niniejszem — dyktował dalej Hryhorjew — mam zaszczyt najuniższej donieść Jaśnie Wielmożnemu Panu, że świaszczennik, imieniem Potap Kołodziejów, przysłany do wioski Widnizski, zamiast zaszczepiania zasad świętej wiary prawosławnej wiodący życie najniemoralniejsze i od-dający się pijaństwu tak dalece, iż go czolgającego się po ulicach wioski widziano, w karczmie będąc publicznie wobec wszystkich włościan w najobelżywszych wyrazach mówił o dostojnej osobie Najjaśniejszego Pana. Używał słów tak okropnych i lud podburzających przeciwko Monarsze, że nie śmiem ich tu wyraźnie wypisywać. Donosząc o tak niezwykłym fackie Jaśnie Wielmożnemu Panu winieniem dodać, że nie odważywszy się na własną odpowie-

dzialność w tym względzie działać, oczekuję łaskawej instrukcyi, jakie kroki policyjne przeciwko rzeczonemu świaszczennikowi przedsięwziąć należy.“

— Dość! postaw pan numer i proszę przypieczętować piórko *) do koperty i kozaka zawołać.

Gdy sekretarz spełnił rozkaz, doński kozak wszedł do pokoju.

— Widziałeś popa, który tu był przed półgodziną.

— Widziałem, Wasze Błahorodie — odrzekł kozak.

— Weź sumkę, (torebka skórzana używana do pakietów) schowaj tam ten papier, siadaj natychmiast na konia i ruszaj do powiatowego miasteczka. Oddasz to wprost do policejska wo upr aw len ia (zarządu policyjnego) do rąk samego sprawnika.

— Słuszajus! — odrzekł kozak.

— Popa, który tu był i pojechał do powiatowego miasteczka, masz wyprzedzić. Jeżeli przynajmniej na godzinę jazdy nie zostawisz go w tyle i nie wręczysz tych papierów sprawnikowi, zanim pop do miasteczka zdąży, dostaniesz kijami, bo to jest ekstrenny interes skarbowy.

— Słuszajus!

— No stupaj won — dodał Hryhorjew.

Kozak co rychlej wsiadł na koń, przypiął z tyłu pikę, przycupnął do grzywy konia, smagnął go nahajką i puścił się galopem. Przejechał wiorstę jedną i drugą, a popa niewiadać; kozak przeląkł się. Zatrzymał się przy karczmie

*) Przypieczętowane piórko w Rosji oznacza ważność urzędowych papierów:

i zapytał, czy jechał tędy pop? Jechał — odpowiedziano — dobrym kłusem, będzie z pół godziny. Kozakowi smutno zrobiło się na sercu, nie tracił jednak nadziei, bo półtora mili pozostało jeszcze do miasteczka; spodziewał się dopędzić popa i wcześniej stanąć u celu. Nie żałował nahajki smagał a smagał.

Chudy lecz szybkocongi mały konik dońskiej rasy, pomknął lotem strzały, a co chwila dodawał mu bodźca jeździec, którego również popędzał strach kijów.

Na ósmej wiorście od stanowej kwatery dostrzegł zdala na trakcie kłęby dymu; niedługo natknął się na wózek popa, przeżegnał się, splunął i machnął dalej, zostawiając go w tyle. Tak szybko leciał, że o trzy kwadranse wcześniej niż pop przybył do miasteczka, i uwiązawszy konia przy ganku drewnianego domu, w którym mieściła się policja, wbiegł do urzędu.

— Od stanowego z ekstrnym papierem — zawołał, wszedłszy do pierwszej izby, w której podrzędniejsi urzędnicy pracowali. Natychmiast zawiadomiono sprawnika o przybyciu nadzwyczajnego gońca.

— Niech tu wejdzie — zawołał sprawnik z głównego pokoju urzędu, w którym siedział, nazywającego się prysustwje.

Kozak wszedł, wydobyl z sumki pakiet i wręczył.

— Hryhorjew donosi — rzekł sprawnik, rozpieczętowany pakiet — że niejaki pop, nazwiskiem Kołodziejów, buntuje chłopów i złorzeczy przeciw Monarsze. Przyjemna wiadomość; taki to człowiek przysłany do działań w duchu rządowym.

— Zaczekaj — rzekł do kozaka.

— Słuszajus.

— Panie sekretarzu, pisz pan w imieniu moim rozkaz do stanowego, ażeby popa niezwłocznie aresztował i odstawił tu pod eskortą. Oddasz pan pakiet na ręce kozaka.

Sekretarz zatemperował pióro, przygotował papier i zaczął pisać, lecz zanim znalazł się w połowie arkusza, zasapany pop gwałtownie wbiegł do urzędu.

— To on, to Kołodziejów! — rzekło półgłosem kilku urzędników, którzy go poznali; lecz sprawnik wcale nie znał tego popa.

Świaszczennik wbiegł do prysustwja, zbliżył się do sprawnika i rzekł:

— Wasze Wysokobłahorodie, okropne nadużycia dzieją się u nas na prowincyi.

— Co to jest? — zapytał sprawnik.

— Przyjechałem ze skargą na stanowego.

— Co, na stanowego ze skargą? Ajakże się nazywacie, ojcz?

— Potap Kołodziejów.

— Potap Kołodziejów! Ach ty łotrze, ach ty gałganie jeden, to ty śmiesz burzyć chłopów, ty złorzeczyć odważasz się przeciwko monarsze?

— Boh z wami, Wasze Wysokobłahorodje, co to jest! — zawołał pop i przeżegnał się.

— Co to jest? Ja ci pokażę, co to jest. Policejskje! — krzyknął.

Na to wezwanie z przedpokoju przyszło kilku żołnierzy policyjnych.

— Wziąć jowo! — krzyknął sprawnik wskazując Kołodziejowa.

Żołnierze popatrzyli na siebie, jakby niezrozumieli, kogo się tyczy rozkaz.

— Wziąć świaszczennika! — powtórzył sprawnik — i odprowadzić do ciemnego aresztu.

— Co to jest! jakim prawem! to niesprawiedliwość! Ja duchowna osoba, ja mam swoją władzę, to gwałt.

— Wziąć jowo! — krzyknął sprawnik jeszcze groźniej.

Żołnierze zbliżyli się do Kołodziejowa i już mieli go ująć pod ramię, gdy barczysty pop chwycił pierwszego żołnierza za kark i jak piłką cisnął nim o ziemię.

— Więcej policyantów, więcej policjantów! — zawołano — i szmer powstał w całej kancelaryi.

Pięciu jeszcze żołnierzy nadbiegło na pomoc, lecz zawzięty pop nie chciał się poddać i jednego po drugim silnie odtrącał.

— Ja do cesarza pójdę na skargę, to gwałt niesłychany! Czego chcą, co ja zrobiłem? Pozwólcie mnie mówić — wołał.

— A to buntownik, a to buntownik! — wołano.

Podczas szamotania się popa z żołnierzami przyniesiono powrozy; związali nareszcie upartego popa i sprawdzając przysłowie: *nec Hercules contra plures*, odprowadzono go do aresztu, gdzie osadzono za czynne sprzeciwienie się władzy pod silną strażą o chlebie i wodzie.

V.

W dzienniczku Anny znalazło się kilka kartek świeżo zapisanych. Pisała drobniutko i bardzo niewyraźnie, nawet temu najzaufaszemu przyjacielowi lękając się powierzyć tajemnicę. Kluczyk od kłódki z większą starannością chowała niż zwykle.

Był ukryty w podwójnym medaljoniku otwierającym się, w którym z jednej strony mieścił się ze srebra wyrznięty wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej, z drugiej Antokolski Pan Jezus, a w środku mały orzełek polski i jeszcze mniejszy kluczyk od dziennika. Nosiła to na wstążeczce ukryte daleko. Medaljonik bezpośrednio dotykał jej serca. Wszystko co jej było najdroższem, symbolizowało się tam. Obrazki reprezentowały religię, orzełek Polskę, a co reprezentował kluczyk, o tem dałoby się wiele powiedzieć. Kluczyk otwierał dziennik, dziennik otwierał jej myśli i serce zajęte przez kogoś. — „On gdzieś jest, czuje to po serca biciu; może gdzie na słońcu lub jakiej gwiazdzie? Ani na słońcu, ni na gwiazdzie, lecz tu na ziemi, widziałam go. On był przy mnie.“ On już tym razem nie tyczyło się wcale mieszkańca obłoków, jak to było dawniej.

„Lecz kiedy go znowu ujrę? Może nigdy. Nie, ja muszę go widzieć koniecznie, koniecznie.” Pod wpływem tego pragnienia zbliżyła się do fortepiana i próbowała rozmaitych śpiewek, które on grywał, które jej mogły go przypomnieć. Naraz rumieniec niezwykłego uniesienia jakby gniewu wystąpił na twarz Anny, oczy błysły i drobnutkie rączki jakis dziwny taniec poczęły odbywać po klawiszach. Zagrała kilka akordów mocnych, jeszcze mocniej przycisnęła pedał, naraz uderzyła obiema pięściami w klawisze, i struna z wielkim łoskotem pękła w fortepianie.

— Słowo honoru, co to jest, co się stało, co ty dokazujesz Anetko? — zawołał brat wbiegając do pokoju.

— To struna pękła, Ignasiu, w samym środku na wiolinie. A pękło, znowu grać nie będę mogła.

— A to niegraj sobie, po stroiciela posyłać nie będę.

— Czemu?

— Czas roboczy, folwarczne konie zajęte; zresztą ciągle na ciebie wydaję a wydaję, a teraz o pieniądze trudno. Ot lada dzień kontrybucję naznaczą, to wtenczas graj na fortepianie, lecz ja pewno tańczyć nie będę.

— A na winko jest?... — zauważała Anna.

— Co tobie? Słowo honoru, z tą Anetką to bieda, wszędzie musi nos wetknąć. Istny kłopot mam z tobą, jak byłaś u stryjostwa, to mogłem żyć sobie po kawalersku. Teraz chciałbym wydać polowanie, zaprosić młodzież... a tu ani rusz, panna w domu — nie wypada! nie można! Słowo honoru, mnie bieda z tobą, a jeszcze ciągle wydatki.

— Cóż ja winna, żem sierota! Ja tobie zawadzam Ignasiu... dokądże się udam? — I łezki pokazały się w jej oku.

— No, no, nie płacz Anetko, przepraszam cię siostrzyczko! Ja ciebie kocham, ty wiesz, że ciebie kocham; słowo honoru, uniosłem się; no nie gniewaj się — dodał i pocałował ją w czoło.

— Ja się nie gniewam, Ignasiu, ale mi smutno.

— No uspokój się, siostrzyczko; słowo honoru, moja Anetko, nie płacz proszę ciebie, będziesz sobie grała na fortepianie, poszlę po stroiciela.

Oblicze Anny rozpozodziło się, spojrzenie błysło żywym promieniem — i zajaśniało przez łyż blaskiem słońca, które się od chmurki deszczowej uwolniło.

— Janeczek.

— Słucham.

— Niech Wasyl jedzie do miasteczka po stroiciela.

— Każ Ignasiu — dodała uspokojona — ażeby na pocztę wstąpił, pewno jest dla mnie Tygodnik. Ignasiu, a nie zaprenumerowałbyś sobie Kłosów.

— Jakich Kłosów?

— Pismo Warszawskie.

— Dostyc jest już kłopotu z kłosami na polu; ot mówił ekonom, że nigdzie żenców najać nie można; słowo honoru nie mogę. —

Anna oczekiwała przybycia Kleckiego. Gdy słabą miała nadzieję widzenia go kiedykolwiek, niecierpliwość nie posuwała się tak daleko, jak teraz, gdy była pewną, że przyjedzie dziś za kilka godzin. Czas strasznie powoli upływał, bo mierzyła go nie uderzeniami wahadła, lecz własnego serca biciem, najprędszą jazdę wyprzedzając polotem myśli szybszej niż elektryczność.

— Antośko!

— Co proszę panienki?

— Czyś ty widziała, kiedy Wasyl pojechał.

— O widziałam; obiecał mi przywieść chustkę czerwoną w prezencie, bo panienska wie, że on mój narze...

— Wiem, lecz kiedy on pojechał, pytam?

— Będzie już ze dwie godzin, a może i więcej.

Anna wyszła do ogrodu i wstąpiwszy na najwyższy znajdujący się tam pagórek, zasłoniła rączką oczy i patrzyła w dal w stronę miasteczka. Zdawało jej się, że coś spostrzegła, jakby ktoś jechał. Nie, to wietrzyk tylko pyłek podmuchał i zawieruszył, a on jeszcze nie nadjeżdżał. Znowu coś dostrzegła, lecz znów się pomyliła przekonawszy się, że on tkwi w jej wyobraźni w formie jasnego punkcika, lecz drogą jeszcze nie jedzie.

— Co się stało, że dotąd niema stroiciela? — zapytała wróciwszy z ogrodu.

— Nic się nie stało — odrzekł Ignas — wszak to dwie mil, tam i napowrót cztery; słowo honoru, nadjedzie chyba aż ku wieczorowi.

Anna z rezygnacją oczekiwania usiadła w saloniku, gdzie był fortepian i przeglądała album, zawierające kopie obrazów Galeryi Drezdeńskiej. Czytać nie miała cierpliwości. Między godziną trzecią a czwartą z południa drzwi od przedpokoju otworzyły się, wszedł niemi stroiciel i lekkim ukłonem powitał Annę. Anna powstała z kanapy, odkloniła się, spojrziała i widząc przed sobą jakiegoś Hiszpana, w pierwszej chwili nie poznała — kto to. Trwało to tylko sekundę.

— A to pan — dodała po chwili podając rękę Janowi — takeś pan zmieniony, że nie poznałam.

Klecki uśmiechnął się.

— Stawię się na usługi pani... Cóż się znowu stało z fortepianem, czy tak źle wystroiłem?

— Nie, lecz struna pękła.

— A struna... no naciągniemy. Służę pani — rzekł oddając Annie jakąś paczkę zapieczętowaną.

— Co to? — zapytała.

— Proszę darować, żem się ośmielił tę paczkę wziąć u Wasyla; mnie się zdaje, że to jakieś dzienniki. Paczka pochodzi z poczty.

— Tak, to Tygodnik, bardzo dziękuję — odrzekła kładąc nierozpieczętowany dziennik. Ale pan jesteś tak zmieniony, nie pojmuję...

Jan uśmiechnął się znowu.

— Zmiana zaszła nie dla maskarady, lecz z głębszych przyczyn; ma to związek z tajemnicą...

— Prawda, pan przerwałś opowiadanie; rozciekawileś mię pan przy pierwszej bytności... niewiem co się dalej stało. Ale niechże pan siada, brat niedługo nadejdzie.

— Ślicznie dziękuję.

— Wolno prosić.

— O co?

— O dalsze opowiadanie.

— I owszem, jeśli to zajmuje.

— Bardzo — odrzekła.

— Otóż będąc właścicielem ziemskim opuściłem majątek i udałem się do oddziału Maćkiewicza. Jak pani wiadomo, oddział ten rozbito i mnie pochwycono z bronią w ręku, dowiedziawszy się, że jestem naczelnikiem sztabu.

Anna z zajęciem słuchała.

— Odprowadzono mnie następnie do Wilna, gdzie pod ścisłą strażą przesiedziałem kilka miesięcy w kazamatach pod 14 numerem. Dowiedziałem się, że pierwotny wyrok skazywał mnie na rozstrzelanie. Do podpisu Murawiewowi podano wyrok w czasie uczty, którą obchodził w gronie oficerskim z powodu uśmierzenia buntu. Pod wpływem łagodniejszego usposobienia, napisaną już konfirmację zmienił i zamiast rozstrzelania, napisał ołówkiem: zesłać Rzeszotkę — bo ja się w istocie nazywam Rzeszotko — dodał ciszej — na 15 lat do jednej z kopalń sybirskich. Ułaskawienie to, gdyby je wykonano, gorszemby dla mnie było od pierwotnego wyroku. Lecz gdy mnie prowadzono wieczorem do komisji śledczej, aby włożyć kajdany, umknąłem i tejże jeszcze nocy opuściwszy Wilno wędrowałem po okolicach, które mi są dokładnie znane.

— Lecz w jaki sposób dostałeś się pan w nasze strony?

— A w te strony — ciągnął — dostałem się w sposób bardzo prosty, lasami, pieszo jak włóczęga. Nocą, mając jeszcze trochę pieniędzy, kupowałem w karczmach pożywienie, a dniem podróżowałem naprzód bez celu, bo ucieczka stała się pomysłem jednej chwili i następstwa jej nie zostały naprzód obmyślane. Jedynym więc celem było to, aby mnie nie złapano i abym się jak najbardziej od Wilna oddalił. W ten sposób wędrując, po trzech tygodniach niemiłej podróży dostałem się do tutejszego miasta. Przebrawszy się jako tako, włożywszy frak i białe rękawiczki, nazajutrz poszedłem do gubernatora.

— Jakto, co pan mówisz? Jakże się pan odważyłeś to uczynić?

— Poszedłem najprościej w świecie, ukloniłem się mu, a znając dobrze język niemiecki, rzekłem w tym języku: Wasza Ekcelencjo, mam zaszczyt przedstawić się mu, jestem Florjan Kronenberg, stroiciel fortepianów, świeżo z Rygi przybyły. Zechciej pan opiekę swoją, której wszystkim podróżującym artystom udzielasz, rozszerzyć i na mnie. Śmiemże liczyć na jego protekcję?

— Bardzo dobrze — odrzekł grzecznie gubernator.

W kilka dni wystroilem fortepian jego żonie i wziąłem za to piętnaście rubli. Zapłacono mi tak drogo najprzód dla tego, że dygnitarze rosyjscy lubią ciskać banknotami, gdy fantazja im to podyktuje, a potem, że od razu zapowiedziałem się jako specjalista, który się kształcił w swoim fachu za granicą i całkiem nową najmodniejszą metodę strojenia fortepianów posiada.

— A to dziwy mi pan mówisz!

— Najszczerza prawda, proszę wierzyć. Wystaw pani sobie — dodał uśmiechając się — wiadomość, że mam stroił fortepian u gubernatora, nietylko zjednała mi rozgłos i wielkie poszukiwanie w mieście, ale sprawiła oraz, że policja ani się ważyła pytać mnie o paszport. Tak więc Florjan Kronenberg, który pod tą pokrywką był także u znajomych pani, państwa Jarnickich, przybył do tutejszego prowincjonalnego miasteczka pod innym nazwiskiem. Pani daruje, że się przy pierwszej bytności nazwał Kleckim, będąc w istocie Janem Rzeszotką.

— Teraz przypominam sobie, żeś pan przedstawiając się Ignasiowi nie wymienił swego nazwiska.

— Lecz niech pani raczy zapomnieć o Kleckim, widząc w tej chwili przed sobą kogo innego. Mam zaszczyt przedstawić się: Je suis Jean Lambo, rodowity Francuz, trudnię się strojeniem fortepianów i przejazdem tylko jestem w prowincjonalnem mieście.

Anna rozśmiała się serdecznie.

— Lecz pocóż to nowe nazwisko? — zapytała.

— Jest w tem — odrzekł — głębsza przyczyna; dowiedziałem się z ust wiarygodnych, że gubernatorowi teraz już wiadomo, kto to Kronenberg.

— Jakto, i pan się nie strzeżesz, pan się narażasz?

— Żebym się nie narażał, nie jeździłbym po tej prowincyi, nie byłbym tu i niepoznałym pani.

— Panie Janie, nie mów pan w taki sposób — odrzekła, i serce jej silnie zabiło a rumieniec zdrajca wyskoczył na twarz nieproszonej.

— Dowiedziałem się — ciągnął dalej — że rozeszły się wszędzie listy gończe i fotografie moje, na których mam dużą brodę — ten jest więc powód zmiany, która się przyczyniła, żeś mię pani nie poznała w pierwszej chwili.

— Strzeż się pan! na miłość Boską, strzeż się! — szepnęło dziewczę.

— Niedbam o siebie, wszystko mi jedno teraz, gdzie będę, sprawa nasza upadła.

— Upadła, lecz znowu powstanie! Polska będzie — Polska być musi — ja to czuję, ja tego pragnę, ja to wymodłę — dodała rozpaczliwie — Bóg sprawiedliwy; ach nie traćmy tylko nadziei!

— Nadziei nie traciliśmy nigdy, lecz ani nadzieją, ani zapałem, który nas zawsze ozdabiał, nic nie zyskamy. Muru głową nie przebijemy. Tylko cicha a wytrwała praca, niby

kropla wody nieustannie spływając na kamień nieszczęść naszych, zbawić nas zdoła. Dwie są w społeczeństwie naszym ostateczności. Jedni mówią o Napoleonie. Nazwisko I. i III. Napoleona stało się płotem, którego ślepi bezmyślnie się trzymają, niewidząc, bo ślepi, co ich w około otacza, i że przesuwające się na stole gabinetów europejskich wypadki, tylko w egoizmie rządów mające swoje źródło, dawno już powinny były zniszczyć złudne ich nadzieje. A jednak wierząc ufają i co wiosny szepczą, że będzie wojna, zacierają ręce, gdy gdzieś walka jaka się toczy. Cieszą się, a czego? Że wojna! Zapominają o tem, że chociażby nas kto jako bezwładnych postawił nawet na nogi, to będąc sami słabymi, czyż się utrzymać zdołamy? Co dalej nastąpi? Zawsze jak dziecko nie będzie nas podtrzymywać na pasku żaden rząd — chociażby najżyczliwszy. Wreszcie gdyby i tak było, to czegoż warte takie istnienie, pozbawione podstaw samoistnych.

Inni znowu upatrują zbawienie w górze w lazurach; mniemają, że pewnego pięknego poranku zbawienie Polski spadnie w kształcie rosy porannej. Minęły już czasy romantycznych cesarzy i cudów. Wtenczas mogliśmy wierzyć, że za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zastępy cherubinów skrzydlatych walczyć za nas będą, a my ręce założwszy doczekamy się szczęśliwego końca.

Jedni i drudzy są marzyciele. Odmienny ich charakter, lecz skutki te same, to jest bezwładność u jednych — brak wytrwałości u drugich. Do odbudowania ojczyzny naszej jedyną tylko dostrzegam drogę pośrednią — pracy realnej, o jakiej wspominałem.

— Za pozwoleniem, mylisz się pan — odrzekła żywo Anna. — W takim realizmie za daleko się można posunąć, aż dojdziemy do rozmysłu głębokiego, którego wynik będzie ten, że Polska nie potrzebna i że niepraktycznie jest dobijać się o nią, mogąc czas poświęcić na korzyść wyraźniejszą. Nie panie — nasza idea, entuzjazmem wypielegnowana, bez niego ostać się nie zdoła. Zniknie zapał — zniknie i pragnienie niezależności. Zamiast dla swego kraju, dla Europy pracować będziemy. Odpowiemy postępowi, lecz Polski, ojczyzny, ukochanej matki naszej nigdy — o nigdy już nie ujrzymy, bo i pragnienie jej w nasby zagasło, gdybyśmy za głęboko w realizm sięgnęli. O nie, panie; ja inne mam zdanie — inny pogląd. Ja modląc się za Polską mam w myśli obraz z przedświtu — Matki Boskiej wśród obłoków o poranku Bożego królestwa na ziemi — płynącej z pochodnią jutrzni w ręku w otoczeniu zbrojnych rycerzów naszej przeszłości. Przyjdzie — przyjdzie dzień trzeci, w którym się rozświeci...

Jan uśmiechnął się sarkastycznie.

— Pan się uśmiechasz? Pojmuję teraz uśmiech pański, bo wiem, że pan w niebo nie wierzysz.

— Niewierzę proszę pani — odrzekł.

— Ubolewałabym nad tem, gdybym nie była pewną — do-

dała z dumą — że fakta przyszłości wpłyną na zmianę jego przekonań.

— Podówczas z kornie pochylonem czołem złożę hołd prawdziwości zapatrywań się pani — lecz teraz...

— Co to jest?

— Co proszę pani?

— Ja coś słyszę...

— Ja nic.

— Ja słyszę dzwonek...

— To się pani zdało — nic nie słyhać.

— Z pewnością; to ktoś z policji, masz pan paszport?

— Nie mam żadnego paszportu.

Echo folwarcznych zabudowań odbiło wyraźny odgłos dzwonka.

— Ukryj się pan! mogą pana aresztować — możesz być zgubionym — prędzej, prędzej — ach na miłość boską schroń się pan — idź pan do ogrodu! — wołała z niepokojem.

Jan posłuszny rozkazowi oddalił się, lecz z wolna i jeszcze raz spojrzął na Annę.

Jak miał nie wierzyć w niebo, gdy czuł w tej chwili urok eterycznej jego sfery. Jak miał nie wierzyć w istnienie aniołów, gdy anioł opiekuńczy w postaci Anny — wyraźnie dotknął go dłonią swoją.

Gdy wyszedł, Anna podbiegła do okna i z niepokojem przypatrywała się powozowi, który przed ganki zajeżdżał. Odetchnęła, gdy spostrzegła elegancki fajeton; policja takimi powozami nie jeździ — pomyślała. Złudzenie jednak było tylko chwilowe, gdyż na koźle fajetonu spostrzegła kozaka, a we środku siedział w elegancki mundur przybrany — stanowy Aleksander Pietrowicz Hryhorjew.

Wszedłszy do przedpokoju, porzucił tam rewolwer i sztylet, które zawsze woził z sobą, gdy jeździł po folwarkach polskich.

— Doma baryn? (Czy w domu pan) — zapytał Janeczka.

— W domu wasze błahorodje.

— A panienska?

— Też w domu.

Hryhorjew chrząknął, wy dobył grzebyczek podręczny i zaczął przeczesywać włosy. Silna, łatwo ból głowy sprawić mogąca woń perfum i pomady, nad miarę użytej, poprzedziła wejście stanowego do bawialnej sali. Hryhorjew skłonił się Annie najprzód ode drzwi, potem w środku salonu, następnie jeszcze i jeszcze raz, aż począł coraz bardziej zbliżać się do niej, pełen giestykulacji jakiejś teatralnej, którą usiłował naśladować ruchy salonowe.

Moje paczczenie (moje uszanowanie) Mademoiselle Anna — rzekł na pół po rosyjsku na pół po francuzku.

— A, to pan Hryhorjew? Witamy pana. Zapewne znowu kontrybucję na nas naznaczono?

— Jeszcze nie; czyż tylko w interesach służby wolno mi przyjeżdżać do państwa? O panno Anno, są rzeczy ważniejsze od służby, które mnie tu ciągną; to — co jest dla mnie najdroższem!

— Czy tak? Doprawdy niewiedziałam, że jest coś przyjemniejszego dla pana nad gnębienie Polaków.

— Jaka pani jesteś okrutna; cóż ja Polakom złego zrobiłem? Nigdy żadnego nadużycia w postępowaniu mojem nie było, ściśle stosowałem się do istniejącego prawa.

— O tem dużo dałoby się powiedzieć. Lecz nie do niewolników należy sąd o tych, którzy... Chciała coś jeszcze dodać, lecz urwała spostrzegłszy się, że zdaleko może posunąć wyjawienie swoich przekonań w obec urzędnika policji.

— Nie mówiłabyś panna Anna w ten sposób, gdybyś wiedziała, jaką paczkę ze sobą przywiozłem.

— Przecież ufam o tyle pańskiej delikatności, że prezentów pan mi jeszcze nie przywiozłeś...

— To nie prezent dla pani — odrzekł, siląc się na dowcip; — lecz mówię o prezencie, jaki rząd chciał mimo jej woli od pani uzyskać. Są to rozporządzenia, ażeby ściągnąć z pani różne sztropy na dosyć znaczną sumę.

— A więc ten jest główny interes, który pana do nas sprowadził? Przepraszam, żem w pierwszej chwili nie mogła go zrozumieć.

— Nie — nie, broń Boże — nie! — bronił się Hryhorjew. — Ja tych rozporządzeń spełniać nie myślę. Jabyń śmiał przeciwko pani działać? O nie, nigdy! Chciałem tylko pokazać, na co się narażam, nie wykonując rozkazów, które zaraz przeczytam.

— Niech się pan nie trudzi, nie rozumiem po rosyjsku.

— Jakto być może? Pani żartujesz, paniś w Rosyi urodzona.

— Mylisz się pan, nie w Rosji lecz na Litwie.

— Niepoprawna! pomyślał. — Przecież w szkołach? na pensyi? spytał.

— Wychowałam się w Wilnie — u Wizytek, gdzie ani słowa nikt po rosyjsku nie mówił.

— Nie dziwię się, iż taki zakon skasowano. Pani — dodał po chwili wpatrując się w Annę — gdy widzę panią, zapominam o wszystkim — zapominam o tem nawet, że jestem Rosyaninem i urzędnikiem policji.

— Czemużes pan o tem nie zapomniał aresztując tyle osób, które są teraz w Syberji z jego powodu?

— Pani — ciągnął — jesteś aniołem, jesteś z nieba, jesteś ziarnko niebieskie!

Anna parsknęła od śmiechu.

— Co się pani ze mnie śmiejesz?

— Nie z pana, lecz z porównania pańskiego, które mi się bardzo podobało. Słyszałam o migdałach niebieskich, lecz o ziarnkach i przyrównaniu kobiety do ziarnka niebieskiego nigdy jeszcze nie słyszała. Należy się panu pierwszeństwo wynalazku.

— Słowo honoru; Aleksander Pietrowicz! Jak się ma pan sędzia! — zawołał wbiegając do pokoju Ignas — Jak zdrowieczko? Słowo honoru, czy to się godzi tak o nas zapominać! Starka wyschnie.

— Jak się ma pan Ignacy? — odrzekł Hryhorjew, nie rad, że wobec Anny o starce wspomniano.

— A cóż kontrybucja czy będzie? Słowo honoru — rznił mię pan, nie mam ani grosza.

— Jeszcze nie naznaczona. Zresztą chociaż i nazną, bądź pan spokojny, mniej od innych zapłacisz. Zrobiłem przedstawienie, że jesteś pan błago na djożny (dobrze usposobiony dla rządu).

— Dziękuję — zawołał uradowany. Słowo honoru, Aleksander Pietrowicz to złoty człowiek! Daj Boże do śmierci takich urzędników. To mówiąc Ignacy po dziecinnemu podskoczył, objął stanowego w pół i pocałował go.

— Janeczek! — zawołał po chwili.

— Słucham.

— Wiśniak i bernadyńskie kielichy.

— Ależ dziękuję, panie Ignacy; chyba dla ciebie, bo ja pić nie będę.

— Słowo honoru, wiśniak amatorski.

Gdy Janeczek wyszedł, wbiegła wyżlica i poczęła szczekać na stanowego.

— Cicho djanka bestjo, nie poznałaś? Toż to kochany nasz Aleksander Pietrowicz! Słowo honoru, zanim przyniosą wiśniak, pójdźmy przejść się do ogrodu; wieczór prześliczny, słońce zbliża się ku zachodowi i nie pali już. Ja panu pokażę, ile bekasów mam tuż za ogrodem. Ale, ale — przypomniałem, że już się kończy termin mego biłetu na strzelbę, będę prosił o świadectwo na nowy.

— Dobrze, napiszę je panu — odrzekł Hryhorjew.

— Lecz chodźmy już, chodźmy.

— Jeżeli panna Anna pójdzie, to za szczęście będę uważał — gdy pozwoli sobie towarzyszyć, inaczej nie pójdę.

Na wspomnienie ogrodu Anna zbladła i zadrzała.

— Ignasiu, w ogrodzie u nas tak brzydko — rzekła — ulice nie wygracowane — może byśmy poszli w inną stronę, ja tam nie pójdę.

— Ależ za ogrodem bekasy! Jakaś ty uparta Anetko, chodź słowo honoru! — i gwałtem pociągnął siostrę.

Annie chwiała się nogi — machinalnie postępowała naprzód. Jedyną miała nadzieję, że się Jan dobrze ukrył; lecz jeżeli nie, jeżeli stanowy go spostrzeże — zgubiony! — pomyślała i trwoga ścisnęła jej serce.

Jakoż obawa jej nie była daremną; Jan bowiem zamiast ukryć się gdzie w krzakach, zapominając o groźcem mu niebezpieczeństwie najspokojniej przechadzał się po alei i myślał o Annie. Anna zaś ani przypuszczając, aby tam był, sama wskazała aleę — jako najlepsze miejsce do spaceru. Gdy weszli do alei, Hryhorjew prawie potknął się na Janie. Anna pobladła.

Jak chart gdy zająca spostrzeże, z taką łapczywością urzędnik policji zbliżył się do swojej ofiary.

— Kto pan jesteś? — zapytał.

— Zając — zając, słowo honoru! Wydźha, Djanka! — krzyknął Ignas i poleciał.

— Je suis Jean Lambo — odrzekł po francuzku stroiciel fortepianów.

Hryhorjew, który znał trochę język francuski, popatrzywszy chwilę zapytał:

— A masz pan paszport?

— Oliwa występuje na wierzch! — rzekła Anna.

— Mam — odrzekł śmiało Jan.

— To samo, co i teraz jestem zmuszony uczynić. — Ja pana arestuję — dodał zwracając się do Jana.

Anna to bladła, to czerwieniła, serce jej biło tak gwałtownie, jakby z piersi miało wyskoczyć. Opowiadanie stroiciela żywo utkwiło w jej pamięci. Łatwo można było odgadnąć, jaki los czeka człowieka, za którym listy gończe rozesłano, a który w tej chwili dostał się w ręce urzędnika. Natoż miała go poznać, ukochać, aby za chwilę utracić w sposób tak okropny. Błagalne spojrzenie jej, pełne anielskiego wdzięku, padło na Hryhorjewa. Stanowy zmieknął pod wpływem tego wzroku, który naraz się zmienił, przybierając wyraz dumy.



Stanowy ukląkł patetycznie, uroczyście niby do komunii... (str. 166).

— Jestem urzędnikiem policji; pan zechcesz się przedemną wylegitymować.

— Mój paszport pozostał w miasteczku.

— Jakże się pan odważyłeś odbywać podróż bez posiadania dokumentów.

— Oliwa występuje na wierzch — powtórzyła Anna.

— Nerozumiem pani — odrzekł Hryhorjew.

— A, jeśli pan nie rozumie... A gdyby pan Lambo wcale nie posiadał paszportu, cóżbyś pan z nim uczynił?

Zesz. V.

— Panie — rzekła — cóżeś pan przed kwadransem mówił? Więc to wszystko była ironja, jeden ze środków pastwienia się nad nami? Śpiewałeś pan fałszywe ody na cześć moją, aby potem w tak okrutny sposób zdrwić ze mnie wyrządzając naszemu domowi największą nieprzyjemność. I w czymże zawinił ten Francuz, którego sprowadziliśmy dla wystrojenia mego fortepiana? Więc niewolno mi grać? Czy to także należy do przepisów stanu wojennego, a więc i tej nawet maleńkiej rozrywki, jaką mam

wśród samotności mojej, chcesz pan mnie pozbawić? Spodziewałam się tego po panu, bo po was panowie Rosjanie, panowie urzędnicy, największego brutalstwa spodziewać się można. Daruj pan, że go opuszczę; nie jestem żandarmem, abym w takiej chwili była mu potrzebna. A może pan i mnie aresztujesz? Ja ucieknę, ja lękam się pana — do-dała z ironją.

— Pani — zawołał błagalnie Hryhorjew — wybac mi, zapomniałem się, uczynię co każesz.

— Panie Lambo — rzekła Anna, ufna w potęgę swych wdzięków — jesteś pan wolny.

— Jeśli tak, jeśli mnie jako cudzoziemca spotyka tyle względności, powinienem wywdzięczyć się również otwartością. Wyznaję, że paszportu wcale nie mam.

— Jakto? Co to jest? To zmienia postać rzeczy — za-wołał Hryhorjew.

— Nie zmienia — odrzekła Anna.

— Zgubiłem swój paszport — rzekł Jan.

— Ale pan pamiętasz numer, a oraz miejsce i osobę, przez kogo został wydany, nieprawdaż? — podchwyciła żywo Anna.

— O tak jest, pamiętam doskonale: wydany był w rodzinny moim departamencie Bezancon przez pana mera de La Roche Nr. 318.

— Pan Hryhorjew będzie tak grzecznym — rzekła Anna — i wyda ze swej strony poświadczenie, jako o utracie paszportu we właściwym czasie został zawiadomiony.

— Panno Anno, w takich czasach jakżeż ja się narażam, mogę utracić służbę. O pani, o Aniele! za tyle poświęceń z mojej strony żądam jednego tylko lecz najdroższego mi wynagrodzenia: pozwól z uszanowaniem ucałować tę oto rączkę.

— Co to jest panie Hryhorjew? zapominasz się pan — zawołała w uniesieniu; lecz po chwili zmieniła ton i łagodnie rzekła: Dobrze, masz pan.—To mówiąc sama wyciągnęła rączkę do pocałowania.

Stanowy ukląkł patetycznie, uroczyście niby do komunii i uszczęśliwiony złożył pocałunek na jej ręce.

Jan wydobyl chustkę od nosa, aby nią usta zasłonić, gdyż będąc świadkiem tej sceny, omal że nie parsknął od śmiechu. Anna odwróciła się i nieznacznie otarła chusteczką miejsce pocałunku.

W tej chwili czuła się panią położenia; uszczęśliwwszy Hryhorjewa mogła mu stawić najśmielsze żądania. Gdy wrócili ze spaceru, Anna zostawiła stanowego z mniemanym Francuzem, a sama co rychlej udała się napowrót do ogrodu. Biegła szybko, aż zadyszana cała spotkała narreszcie Ignasia, który nie zdolawszy zająca upolować powracał z innej strony ogrodu.

— Wiesz Ignasiu co się stało?

— A co?

— Ten stroiciel, to jakaś postać tajemnicza, prawdopo-

dobnie powstaniec przebrany; przed stanowym wydał się za Francuza. Ja zrozumiawszy rzecz udałam, iż niewiem, że to Polak, i mówiłam z nim po francuzku.

— A to piękna historia — odrzekł strwożony — słowo honoru — otóż to twoje niezdolne fortepiany! Anno, będziesz biedna, będą rewizje, kontrybucje, sztrofy—jesteśmy zgubieni, pójdziemy z torbami. O ja nieszczęśliwy!

— Bądź spokojny. Stanowy uwierzył, że to Francuz, i napisze mu świadectwo; od twego milczenia wszystko zależy. Nie mów z nim inaczej jak po francuzku, rozumiesz?

Ignas odetchnął.

— Słowo honoru, że nie wydam się ani słówkiem — odrzekł.

— Pamiętaj Ignasiu, od twego milczenia wszystko zależy.

— Dobrze, dobrze. Oj Anetko, z tym fortepianem co ty dokazujesz, bieda mi z tobą.

„Świadcę niniejszem“ — pisał stanowy — „iż poddany francuzki imieniem Jan Lambo, trudniący się artystycznym zawodem strojenia fortepianów, w stosownym czasie zawiadomił mnie o stracie swego paszportu, przedtem w stanowej kwaterze meldowanego. Na dowód tego i do swobodnych rozjazdów wydaje mu się niniejszy bilet na termin trzechmiesięczny, od daty niżej wyrażonej.“ Podpisał: „Aleksander Pietrowicz Hryhorjew, przystaw drugiego stanu.“ Potem wzięwszy od kozaka pieczęć skarbową, którą zwykle z sobą woził, wycisnął ją na bilecie.

VI.

Jan, którego całe życie składało się z pasma zdarzeń, w awanturniczy sposób płaczących się ze sobą, czuł, że jakaś gwiazda opiekuńcza przyświeca mu teraz. Któż inny mógł być tą gwiazdą, jeżeli nie Anna. Jej jedynie zawdzięczał swoje ocalenie. Zawdzięczał jej więcej, gdyż towarzystwo z nią dało mu uczuć platoniczne roskosze niebios. Te krótkie chwile, które z sobą spędzili, nie były mu szczęściem istnie niebiańskim? Mogłaż w nim dłużej pozostać wątpliwość, że niebo istnieje, teraz, gdy był w niebie — gdy czarownych jego roskoszy osobiście kosztował?...

Anna zaś modliła się myślą o ocalenie kochanka. Przypisywała to złączenie nie potędze wdzięków, lecz sile gorących modlitw swoich. Tylko cudem — myślała — może się zdarzyć coś podobnego. W istocie postępowanie jej z Hryhorjewem podobne było do wkładania głowy w paszczę przyswojonego tygrysa.

Szukmistrz ufny w łagodność zwierza, naraża się, kładzie swą głowę nie bez obawy jednak, czując, że stawia własne życie na kartę. Karta może wygrać, szczęśliwy gracz zwykle jej ufa; lecz któż zaręczy, że i najszcześniejszego nawet nie zawiedzie? To samo było z Anną względem Hryhorjewa; drażniła go i prawdę wypowiadała mu bez

ogródek. Zakochany zwierz znosił cierpliwie raz i drugi, lecz nie zawsze sztuka się udaje.

Po odjeździe stanowego Jan czas jakiś jeszcze pozostał w Widniskach. Przybycie Hryhorjewa i sceny, które wynikły w skutek ukrycia się stroiciela w ogrodzie, przyczyniły się do poufalszego zbliżenia między kochankami. Zaszła między nimi przyjacielska serdeczność i poufność, na którą wobec innych okoliczności wypadałoby długo oczekiwać. Teraz zaś okoliczności sprawiły, że Anna mimowoli musiała się zdradzić z uczuciem, które pragnęła przedtem zachować w tajemnicy. Względy poszły na bok w chwili, gdy chodziło o ratunek kochanka. Przy pożegnaniu więc toczyła się już między nimi taka rozmowa, w której wyraz „kocham“ stałby się całkiem zbytecznym; treść jej bowiem na pozór nic nie znacząca, w gruncie rzeczy z obu stron tchnęła gorącym uczuciem. Porozumieli się co do miłości; byli pewni, że kochają się wzajemnie. W takiej chwili nie czas było myśleć o tem, co dalej nastąpi, czy będą mogli na zawsze do siebie należeć — czy nie. Kochankowie idealnie miłujący się, nie myśleli o przyszłości, gdyż terażniejszość pełna uroku całkiem ich zajmowała. Nie pomyśleli nad tem, jaka ogromna przepaść ich dzieli, że położenie ich, całkiem odmienne pod względem materyalnym, nie dozwalało rozsądkowi praktycznemu myśleć o jakimś związku.

Panna Anna miała 30tysięcy rubli posagu w gotówce, które jej stryj za powrotem z zagranicy każdego czasu mógł wyliczyć w pięciu-procentowych biletach wykupowych 1szej seryi. Obok tego miała posag duchowy, składający się z jej wychowania i dobroci charakteru. Za Janem przemawiało tylko wykształcenie, które w dzisiejszych czasach można porównać z zerem. Gdy do tego zera doda się jednostkę, t. j. majątek, spotęguje się wartość cyfry; samo przez się wszakże nic ono nie znaczy. W przekonaniu bowiem ludzi praktycznych wykształcenie kładzie się na drugim planie, gdy mowa o kwalifikacjach porządnego kawalera; pierwsze zaś miejsce zajmuje majątek. Jan nie miał majątku, a raczej mając go niegdyś, utracił w skutek konfiskaty za przestępstwo polityczne, co tyle znaczyło, jakby go wcale i nigdy nie posiadał; zatem nie mógł marzyć o ożenieniu się z posażną panną Anną. A chociażby nawet ona, co nie ulega żadnej wątpliwości, przystała, aby został jej mężem tak jak jest, i może pragnęłaby pieniędzmi swemi wydzwignąć go z położenia, w które popadł przez poświęcenie się dla ojczyzny, to z drugiej strony Jan zanadto był dumnym, by się miał odważyć na projekt, któryby dozwalał poglądać nań z góry. Z tego powodu myśl o małżeństwie z Olską nie mogła powstać w jego głowie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

K R O N I K A.

Z kraju.

(Od redakcyi). Już dwa miesiące upłynęły, jak ogłoszyszy odezwę wydaną do kraju przez komitet fundacyi na cześć ś. p. Karola Szajnochy — zapraszaliśmy naszych Szan. czytelników do składania ofiar na tą fundację w redakcyi „STRZECHY.“ Z przykrością jednak oznajmić musimy, że dotychczas nie złożono jeszcze ani grosza. Niepoważamy się nawet przypuszczać, iżby przyczyną tego mogła być obojętność dla tak ważnej i zacnej sprawy; ależ z drugiej strony niepodobna także liczyć tego jedynie na karb „ciężkich czasów,“ któremi dziś każdy się tłumaczy, gdyż wolno tu ofiarować, ile kto może, i najmniejszy nawet datek znajdzie takie same uznanie jak największy. Zdaje nam się więc, że będzie tu potrzebnem tylko przypomnienie naszego zaproszenia, które niniejszem ponawiamy; ażeby jednak mogło ono tém pewniej odnieść lepszy niż dotąd skutek, postanowiliśmy połączyć z tem jeszcze osobisty interes materyalny dla składających. Mianowicie urządziła redakcyja swoim kosztem osobny nakład znajdującej się w tym zeszycie pięknej ryciny, przedstawiającej zgon Mieczysława Romanowskiego, na papierze chińskim, i przeznaczca cały czysty dochód ze sprzedaży jej na rzecz wspomnianej fundacyi. Cena tej ryciny i czas jej wydania będą osobno oznajmione.

(Rozprawa historyczna o Kazimierzu Wiel-

kim), która była przedmiotem trzech wykładów popularnych pana Łucyana Tatomira i obudziła tak wielkie zajęcie, wyjdzie — jak się dowiadujemy — wkrótce w osobnej broszurze nakładem księgarni p. Karola Wilda. Tym, którzy nie słyszeli tych wykładów, możemy sumiennie polecić to szacowne i wielce pouczające dziełko, które z wielu względów tak żywo nam przypomina mistrzowskie pióro nieśmiertelnego Szajnochy.

(P. Henryk Schmitt) zakończył 8. kwietnia swoje popularne wykłady dziejów rozbiorowych Polski. Jak się wiązało z tego zadania, i jakie ta zacna kilkumiesięczna praca jego znalazła uznanie u publiczności, wiedzą najlepiej ci, którzy byli stałymi uczestnikami tych szacownych i krzepiących polskiego ducha wykładów. Taka zasługa zyskuje prawo do powszechnej czci i wdzięczności, i uczucia te znalazły też istotnie bardzo wymowny wyraz przy pożegnaniu szanownego prelegenta. Byłto akt prawdziwie wznieśli i rozrzewniający. Gdy skończył się ostatni odczyt, wystąpili z grona słuchaczy panowie Mieczysław Darowski, Kornel Ujejski i kilku innych, i w imieniu całej publiczności ofiarowali zasłużonemu historykowi w dowód powszechnego poważania i na wieczną pamiątkę sprawiony przez dobrowolną składkę pierścień złoty, a szanowny nasz poeta Ujejski miał przy tej sposobności mowę tak piękną i pełną patriotycznego namaszczenia, że cała publiczność została nią literalnie porwana, i co chwila

grzmiała hucznymi oklaskami przepelniona sala. W końcu podziękował jeszcze p. Szmitt z głębokim wzruszeniem za tak chlubny dlań wyraz czci obywatelskiej, i zgromadzenie rozeszło się, wynosząc z sobą pamiętne na długo wrażenie tej uroczystej chwili.

(Moje dobre chęci). Pod tym tytułem wydał w zeszłym miesiącu p. Teofil Ostaszewski, wójt gminy włociańskiej we Wzdowie, zbiór powiastek i bajek wierszem, wziętych ze zdarzeń miejscowych, a spisanych dla założonej przez niego szkółki wiejskiej od r. 1829 do 1868. Już z tych szczegółów, przytoczonych na karcie tytułowej i w przedmowie, przekona się każdy, że w istocie musiały przewodniczyć „dobre chęci“ tej pracy, a przekonania tego nie osłabia bynajmniej sama treść tej książeczki. Szanowny autor czerpał rzeczywiście wątek do swoich powiastek i bajek z głębi praktycznego życia ludu, i wysnuwa z nich rady tak zdrowe i pożyteczne, że każdy, komu leży na sercu dobro kraju, może tylko pragnąć jak największego ich rozszerzenia pomiędzy ludem wiejskim. Zarzucono autorowi brak talentu poetycznego; ale w takich utworach nie chodzi o poezję lecz o pożytek, a tego odmówić im nie można, i w tem właśnie leży zasługa autora. Niemalże też podnosi wartość tej pracy ta okoliczność, że autor poświęcił ją sędziwemu wieszczowi naszemu, W. Polowi, który przyjął tę dedykację z wyrazem najszczerzego uznania „dobrych chęci szanownego wójta.“

(Pora odczytów popularnych) skończyła się już u nas, a natomiast rozpoczął się szereg wielkich produkcji muzycznych. Dnia 5. kwietnia słyszeliśmy już w teatrze pomnikowe dzieło Haydena: „Stworzenie świata,“ wykonane wcale dobrze przez orkiestrę teatralną przy pomocy śpiewaków opery niemieckiej i dyletantów; dalej słyszymy, że Towarzystwo muzyczne przygotowuje się do wykonania równie sławnego utworu muzycznego „Stabat mater“ w sali ratuszowej, a wkrótce ma także towarzystwo śpiewaków „Harmonia“ wystąpić z jakimś „Oratorium“.

Wracając do odczytów popularnych musimy nadmienić jeszcze, że równie jak Lwów, obfitował także i Kraków tej zimy w podobne wykłady, a to nawet tak dalece, że w końcu znużona publiczność nie chciała już uczęszczać na nie. Przy najmniej wyczytujemy w jednej z korespondencyj krakowskich, że mnogość równocześnie na różne cele w ciągu postu zapowiedzianych tam odczytów nie osiągnęła zamierzonego skutku. Na sprawienie popiersia św. Jana Kantego z odczytów Wincentego Pola i Lucyana Siemieńskiego zaledwo wpłynęło kilkadziesiąt zlr., i zarząd kościoła św. Anny, gdzie popełniono ową kradzież z trumny świętego, widząc bezowocność poświęcenia się uczonych mężów, odwołał dwa następne odczyty, jakie na ten cel mieć jeszcze zamierzali pp. Burzyński i Mecherzyński. Odczyt pana Gumplowicza „o formach rządu,“ pierwszy z szeregu zapowiedzianych odczytów na fundusz wzajemnej pomocy Towarzystwa akademickiego, nie przyszedł nawet do skutku z powodu braku słuchaczy i odłożyć go musiano na później. Na ten sam cel miał p. Belcikowski, docent przy szkole głównej warszawskiej, wykład „o komedjach Zabłockiego.“

(Ruch asocjacyjny) wzmógł się w najnowszym czasie u nas do takiego stopnia, że niemal możnaby z tego powodu

posadzić nasze społeczeństwo o jakiś stan chorobliwości, a co właściwie jest tylko całkiem naturalnym skutkiem odzyskania wolności po długoletnim zatamowaniu wszelkich swobód socyalnych i politycznych. Zaledwie miesiąc upłynął od czasu, jak donieśliśmy o zawiązaniu się dwóch towarzystw nowych (literackiego i przyjaciół śpiewu), a już mamy znowu do zapisania kilka świeżych bądź zawiązanych już, bądź powstających dopiero stowarzyszeń, jako to: stowarzyszenie pedagogów połączone z towarzystwem wzajemnej pomocy naukowej na wzór istniejącego w Poznaniu towarzystwa takiego pod nazwiskiem ś. p. Marcinkowskiego; dalej stowarzyszenie oświaty ludowej; stowarzyszenie ku krzewieniu nauki języka polskiego między żydami, i nakoniec stowarzyszenie czeladzi rzemieślniczej ku rozrywce, nauce i pomocy wzajemnej. Tym sposobem urosła już u nas cyfra towarzystw i stowarzyszeń wszelkiego rodzaju do 40stu, nielicząc w to towarzystw akcyjno-przemysłowych i korporacji rzemieślniczych. Oby tylko wszystkie przyniosły oczekiwany pożytek; chęci są po temu, byle tylko nie brakło wytrwałości, na co my niestety często chorujemy.

Kraków przez dłuższy czas spoglądał obojętnie na ten ruch, a nawet przyganiał mu po trosze; ale w końcu uległ sam temu prądowi czasu, i skutkiem tego powstały tam w zeszłym miesiącu dwa bardzo pożyteczne stowarzyszenia, mianowicie: Kasyno artystyczno-literackie i Towarzystwo przyjaciół oświaty, to ostatnie głównie za staraniem p. Fr. Trzecieckiego, założyciela wydawnictwa dzieł tanich i pożytecznych. W programach obudwu tych towarzystw wykano rozmaite wady, ale to zdaniem naszym rzecz pomniejsza; niech tylko zawiązują się pożyteczne towarzystwa, a statuta ich dadzą się potem z łatwością poprawić.

W końcu dodać jeszcze możemy, że ruch ten nie pozostał bez wpływu także na ziemie polskie pod zaborem pruskim, gdyż w tym samym czasie zreorganizowało się w Poznaniu tamtejsze Towarzystwo przyjaciół nauk pod prez. Kar. Libelta, a w Toruniu poruszono projekt zawiązania towarzystwa, mającego na celu przemysłowe kształcenie kobiet, które powinnyby znaleźć jak najszczerze uznanie i poparcie.

(Maurycy Karasowski), znakomity wiolonczelista, który od dłuższego czasu był członkiem orkiestry królewskiej w Dreźnie, został zamianowany teraz kamer muzykiem króla saskiego, podobnie jak niegdyś sławny nasz skrzypek ś. p. Karol Lipiński. Mianowanie to jest najlepszym dowodem, że p. Karasowski musi być znakomitym wirtuozą; kto bowiem zna orkiestrę królewską w Dreźnie, wie, jak to trudno dobić się tam podobnego stopnia, zwłaszcza nie będąc krajowcem.

(Sława naszego znakomitego wieszca, Wincentego Pola) znachodzi już i u cudzoziemców zasłużony rozgłos. Wychodzące w Wiedniu czasopismo literacko-naukowe „Oesterreichische Revue,“ przyniosło w jednym z ostatnich zeszytów swoich bardzo piękny artykuł, napisany przez F. Th. Bratrana, o pismach naszego poety, co zapisujemy tu z tem większą przyjemnością, iż bardzo rzadko zdarza nam się napotkać w niemieckiej literaturze artykuł, oceniający życzliwie nasze

stosunki lub piśmiennictwo. Artykuł p. Bratranka odznacza się gruntowną znajomością poezji polskiej, głęboką sympatią i cziłą dla naszego wieszczą, i prawdziwym poczuciem poetycznym, a przytem napisany jest prześlicznym, prawdziwie uroczym stylem. Zaprawdę tak pięknego i tak trafnego ocenienia dzieł Winc. Pola nie zdarzyło nam się czytać jeszcze w żadnym piśmie polskiem.

Dla okazania zaś odwrotnej strony medalu, t. j. nieżyczliwości a nawet przewrotności obcego dziennikarstwo w malowaniu stosunków naszych, dość będzie wspomnąć tu o ostrzeżeniu, jakie podaje „Dziennik Poznański“ względem paryskiego tygodnika ilustrowanego „Magasin de Foyer“, który przez kilka lat pisząc przychylnie dla nas, zjednał sobie tem dość znaczną liczbę prenumerantów w Polsce, ale z początkiem roku bieżącego zmienił się naraz zupełnie. W ostatnich pięciu numerach, od 9. lutego do 8. marca, ciągnie się wyjątek z podróży po naszym kraju, pod tyt. „Un hiver en Pologne“. Trudno sobie coś niegodziwszego wystawić; jestto stek samych kłamstw i oszczerstw, jak gdyby jaki artykuł z „Dziennika Warszawskiego“. Autor wychodzi z założenia, że gdyby Polska nie była tak oddaloną i tak nieznaną Francuzom, niktby dla niej we Francji nie miał najmniejszego współczucia. Wszystko według niego jest u nas plugastwem, kłamstwem, okrucieństwem. Widać, że na tę metamorfozę musiał wpłynąć dźwięk srebra z kopalni Uralu.

(Pomnik konfederacji barskiej na obcej ziemi). Przebywający na tułactwie bracia nasi w Szwajcaryi, postanowili z powodu stuletniej rocznicy konfederacji barskiej, wzniesić na wolnej ziemi szwajcarskiej pomnik, uwieczniający stuletnią wojnę narodu polskiego o niepodległość, na co ofiarowały chętnie miejsce władze szwajcarskie w Zuryku. Robota już się zaczęła i ma być w lipcu ukończona. Będzie to ozdobna kolumna marmurowa, wysokości 26 stóp, ze wspaniałym orłem na szczycie, z herbami poskiami i czterma tablicami, na których będą umieszczone stosowne napisy. Znaczne koszta wystawienia tego pomnika mają być pokryte ze składek.

(Profesor Waga) sławny nasz naturalista, który przez dłuższy czas bawił w Paryżu, przybędzie na Wielkanoc do Warszawy, zkąd w tym roku w towarzystwie hr. Branickiego, profesora Taczanowskiego i innych uczonych zamyśla udać się do Egiptu w podróż naukową.

(Nędza w Warszawie), przybiera — dzięki ojcowskim rządóm Cara — prawdziwie zatrważające rozmiary. W każdej korespondencji ztamtąd można się spotkać z opisami tej nędzy, ale nic nie maluje jej tak wymownie, jak następujące zdarzenie, o którym donosi korespondent „Dzien. Pozn.“ Oto pisze on: „Prawo nasze dozwala żądać matce ukarania syna krnąbrnego przez prezesa trybunału. Kara najwyższa dochodzi 3 miesiący więzienia. Otóż pewna matka zaniósła podobną skargę na synka 10letniego, tak wynędzniałego, iż ledwo się trzymał na nogach. Prezes po długich moralach zapytał oskarżonego, czy przyrzeka poprawę, na co dziecina pocałowała prezesa w rękę, załala się łzami, mówiąc iż nie wie, czego od niej chcą. Po przywołaniu matki prezes oświadczył jej co zaszło. Niešťęśliwa z kolei płakać poczęła i usilnie prosić o uwięzienie dziecka. Po długich wypytywaniach przekonał się prezes, że

glód był przyczyną skargi. Chłopczyk cztery dni nie jadł. Oto obraz nędzy!

(Ruch książkowy) i w ogóle handel księgarski w Warszawie nie jest także wcale świetny. „Dzieł poważnych — pisze inny korespondent — bardzo mało drukuje się teraz. Zastój w literaturze naszej najzupełniejszy. Wydają wprawdzie spekulanci wielkie mnóstwo nabożnych elukubracyj, kantyczek itp., tak, że codziennie można ujrzeć coś nowego w tym kierunku — dowodzi to jednak tylko wyzyskiwania nieoświeconych a pobożnych klas ludności, ze szkodą szerzenia wśród nich naukowego światła. Dziwić się jednak takiemu kierunkowi naszej literatury nie można. Cenzura, bieda w kraju, brak kapitałów, mała liczba ludzi czytających poważne książki, oto przyczyny, które tamują wszelką wydawniczą działalność, i popychają księgarzy do frymarki, bo tonący brzytwy się chwytą. Księgarnia jedna po drugiej upadają — w zeszłym roku sprzedano przez licytację i zamknięto księgarnię Friedleina, obecnie wyprzedają się po pół ceny i wkrótce zwiną księgarnie: Mercbacha, Natansona i Nowoleckiego.

(Nekrologia polska). W Poznaniu zmarł dnia 24. marca Antoni Popliński, były profesor gimnazyalny i bibliotekarz biblioteki Raczyńskich. Znane są światu polskiemu jego Wypisy polskie, Książki historyczne, Gramatyka łacińska, Geografia, wszystko na użytek elementarny przeznaczone. Prócz tego pisał on dla Niemców podręczniki do nauki języka polskiego i rzecz o Mennictwie w Polsce po niemiecku.

Z Warszawy donoszą o zgonie Zygmunta Hlebickiego Józefowicza, zdolnego literata, który pracami swemi, zwiastującemi niepospolity talent, zasiłał przez kilka lat tamtejsze pisma ilustrowane. Oddawał on się głównie pracom dramatycznym, między którymi najznakomitszym jest dramat: „Królowa Bona w Bari,“ drukowany w Tygodniku ilustrowanym.

W Brukseli zmarł z końcem lutego jeden z najzacniejszych polskich izraelitów, Ozyasz Ludwik Lubliner, żołnierz z r. 1831 ozdobiony krzyżem „virtuti militari,“ a później na tułactwie znakomity pisarz w zawodzie prawniczym i najgorliwszy obrońca sprawy polskiej. Pozostało po nim wiele szacownych dzieł i rozpraw nietylko w polskim ale i we francuskim języku, które tchną wszystkie najczystszy patryotyzmem i duchem prawdziwie polskim. Z nieśmiertelnym Lelewelem łączyła go aż do zgonu historyka najserdeczniejsza przyjaźń.

Nakoniec również w Brukseli zakończył życie w połowie marca J. Godebski, syn naszego żołnierza-poety Cypryana Godebskiego, zasłużony wojownik z r. 1831 i zacny patriota, który także i piórem złożył niejedną dowód wielkiego wykształcenia i wiernej do zgonu służby dla ojczyzny.

Ze świata.

(Stanowisko kobiety w Indjach). Niejedna z pięknych pań naszych, władających tak potężnie losami swoich hołdowników, ani domyśla się nawet, jak gorąco powinna dziękować Opatrzności, że nie urodziła się Indyanką nad brzegami Gangesu, i jak niesłusznemi są jej utyskiwania na srogość

i dumę mężczyzn, zasługujących zaprawdę na nazwę aniołów w porównaniu z okrutnymi synami Hindu.

Bo też los kobiety indyjskiej jest w istocie godnym pożałowania! Jak we wszystkich krajach na Wschodzie stoją kobiety także w Indjach na najniższym stopniu oświaty umysłowej i moralnej; całe ich wychowanie skierowane jest na to, by utłumić w nich wszelką samodzielność myśli i uczucia, i usposobić je tylko do niewolniczej uległości dla męża, z którym jako dzieci jeszcze w wieku od 10 do 12 lat zaślubiane bywają.

Dość jest przeczytać tylko przepisy, jakie zakreśla tamtejszej kobiecie święta księga indyjska, tak zwana „Polavor Purina,“ ażeby powziąć dokładne wyobrażenie o smutnym położeniu nadobnych cór tego kraju. Oto na przykład mała próbka tych przykazań: „Kobiecie niewolno mieć żadnego innego Boga na ziemi, prócz męża. I chociażby go szpeciły wszelkie wady i ułomności, chociażby był najgorszym i najnieprzyjemniejszym, musi przecież żona uważać go zawsze za swojego Boga, poświęcać mu całą troskliwość swoją, i niedawać mu nigdy powodu do gniewu lub zmartwienia. Dla jego przyjemności powinna zdobić się i stroić, i w każdym względzie bez najmniejszego oporu stosować się do jego usposobienia i woli; jeżeli on się śmieje, musi i ona śmiać się, jeżeli płacze, i ona płakać musi. Żona nie śmie jeść wprzódy, aż mąż wstanie od jedzenia; jeżeli on pości, musi pościć i ona; jeżeli on jeść nie może i ona także jeść nie powinna. Gdy mąż śpiewa, musi żona okazywać największą radość; gdy tańczy — musi przypatrywać mu się z zachwyceniem; gdy mówi — słuchać go z podziwieniem. A jeżeli mąż gniewa się, laje ją albo nawet uderzy niesłusznie, musi całować ręce jego i prosić go o przebaczenie, nigdy zaś nie powinna krzyżeć ani też uciekać.“ Podobniez opiewają i dalsze przepisy, aż wreszcie kończą się przykazaniem, ażeby po śmierci męża dała się żona spalić żywcem z nim razem.

I zwyczaj ten praktykuje się tam do dziś dnia jeszcze z całą surowością. Dopiero w najnowszych czasach zaczęły tu i ówdzie objawiać się pojedyncze usiłowania, by ile możności szerzeniem oświaty w kraju usuwać ten przykry stan rzeczy; a szlachetnej pracy tej przewodniczy z rzadką zaprawdę wytrwałością i poświęceniem jeden z najświetlejszych obywateli Bombaju, który od lat trzydziestu pracuje niezmiernie nad tem, ażeby biedną niewiastę indyjską wyzwolić z tego stanu upośledzenia, i za pomocą wykształcenia jej rozumu i serca na sposób europejski wnieść ją na stanowisko odpowiednie jej godności w społeczeństwie.

Mąż ten, imieniem Manokdzi Kursetdzi, należy do religijnej kasty Parsów czyli Czycieli ognia, a wysokie wykształcenie umysłu jak również znaczny majątek stawiają go w rzędzie najpierwszych znakomitości Indyi; jest on też członkiem wszelkiego rodzaju towarzystw, mających na celu postęp moralny i naukowy, i zwiedzał już dwukrotnie Europę, a z początkiem roku bieżącego bawił nawet dłuższy czas w Paryżu, i bywał zapraszany na bale do Tuilleryów, gdzie oboje cesarstwo przyjmowali go z największą uprzejmością i odszczególnieniem.

W r. 1863 założył on w Bombaju pierwszą szkołę dla dziewcząt indyjskich podług systemu angielskiego; ale walka

z ciemnotą i zastarzalemi przesądami nie jest łatwą, i dlatego też pomimo najusilniejszych starań jego liczyła ta szkoła w r. 1865 dopiero 20 uczennic w wieku od 6 — 13 lat, z których trzynaście należało do sekty Parsów, a siedm było dziewcząt indyjskich. Powoli jednak odnoszą znaczne usiłowania jego coraz pomyślniejszy skutek, a to głównie dlatego, iż sam dając przykład z siebie zarzuca wszelkie przesady, zwyczaje i tradycje swojej kasty, dzieci swoje kształci i wychowuje zupełnie na sposób europejski, i otwiera dom swój z największą gościnnością Europejczykom, przyczem córki jego wbrew wszelkim zwyczajom indyjskim przyjmują gości w salouach ojca. Z początku gorszyli się tem wprawdzie niemało jego rodacy, ale z czasem znaleźli się przeciw naśladowcy, gdyż potęga cywilizacji ostatecznie zawsze zwycięża. Manokdzi ma dwie córki i dwóch synów. Synowie pobierają nauki w Oxfordzie i w Cambridge w dwóch najslawniejszych uniwersytetach Anglii; córki są wierne pomocnicami ojca, kierują nauką w szkołach, które same pozakładały, zajmują się dziełami dobroczynności, pielęgnują chorych, pocieszają strapionych, i to bez żadnego względu na ich wiarę lub pochodzenie.

W najnowszym czasie było też zaślubienie najstarszej córki jego Miss Anny bardzo świetnym protestem przeciw starym zwyczajom indyjskim, gdyż ojciec nie wydał jej za mąż w dzieciennym wieku i podług własnej woli swojej — jak to zwykle tam bywa, lecz dozwolił córce, dorosłej już i w każdym względzie znakomicie wykształconej, wybrać sobie męża podług skłonności jej własnego serca, co jako rzecz niesłychana dotąd obudziła na nowo przeciw niemu złość wszystkich krajowców. Ale pleć piękna nie będzie pewno nieprzyjaciółką tej nowości, w której dość raz zasmakować tylko; i kto wie, czy właśnie ta okoliczność nie przyczyni się kiedyś najwięcej do wzniesienia pomnika sławnemu reformatorowi.

(Adwokatki). Zasmuciwszy piękne czytelniczki nasze przykrym opisem niedoli kobiecej w Indjach, możemy za to pocieszyć je całkiem odmiennym obrazem, jaki na szczęście (Bogu dzięki jednak, że nie nasze) nastroczają nam w tej chwili Stany zjednoczone Ameryki północnej. „Ostateczności stykają się“ — powiada przysłowie francuskie; więc cóż łatwiejszego dla kronikarza, jak przejście z jednej do drugiej? Ale niech nas Bóg uchwali, byśmy się pokusić mieli o wyszukiwanie tego filozoficznego punktu zetknięcia! — chcemy tylko po prostu pokazać, że jeżeli w Indjach i na całym grzesznym Wschodzie kobieta niczem jest prawie, to zato na innym krańcu świata istnieje błogi zakątek, gdzie kobieta jest — a przynajmniej chce być we wszystkim równą swemu odwiecznemu przeciwnikowi — mężczyźnie. Tym błogim zakątkiem jest Ameryka północna, którą zaprawdę możnaby nazwać klasyczną ziemią emancypacji. Już oddawna dolatuje nas z Oceanu sława lekarek amerykańskich, a dziś sięga już kobieta tamtejsza po drugie berło męskie — po dyplom adwokacki. W jednym ze Stanów Ameryki północnej, w Kansas, wystąpiły już na widowie publiczną adwokatki, t. j. kobiety kwalifikowane do stawiania w sądach jako obrońcy, gdyż prawodawstwo tamtejsze dopuszcza na linię obronną każdą osobę bez różnicy płci i koloru skóry, jeżeli tylko uzyska potrzebną kwalifikację. Są jednak złośliwi dowiecpi, rozumie się mężczyźni, którzy sądzą, że

adwokatura kobięca może być niebezpieczną dla sprawiedliwości; nie dlatego, iżby obrończynie miały mniej zdolności i bystrości umysłu od mężczyzn, lecz że sędziowie będą mimowolnie ulegać przewadze, jaką nad nimi mieć będzie prawie zawsze osobistość kobiety; a czemu możnaby ich zdaniem zaradzić tem tylko, żeby i sąd przysięgłych składał się z kobiet i prezes takiego sądu był kobietą. Czy rada ta znajdzie posłuchanie, nie wiemy, ale to wiemy z najpewniejszego źródła, że mężka młodzież amerykańska zaczyna już z wielką gorliwością uczyć się ccrowania i sztuki kucharskiej, ażeby w razie ożenienia się z doktorką praw lub medycyny nie musiał mąż chodzić w dziurawych szkarpetkach i mógł gotować sobie obiady.

(Szczątki zwierząt przedpotopowych.) W gubernii Jarosławskiej (w Rosyi) o trzy wiorsty od miasteczka Mologu nad rzeką tegoż nazwiska, znaleziono szczątki nieznanych dotąd zwierząt przedpotopowych. Jednym z nich jest róg, a raczej część rogu, długości jednego metra a wagi 36 funtów, grubość przy nasadzie wynosi 26 cali. Wnioskują, że cały róg musiał mieć najmniej sześć stóp długości. W tej samej miejscowości znaleziono także ząb jakiegoś zwierzęcia roślinożerczego, który waży przeszło pięć funtów.

(Kolej łącząca dwa oceany). Do największych cudów naszego stulecia, tak obfitego w cuda, należy tak zwana Kolej Cichego Oceanu, której budowa doszła już do podnóża Gór skalistych, 525 mil od Ohamy. Odległość od grzbietu góry Black Hill (wschodniego łańcucha gór skalistych), wynosi już tylko 30 mil, i spodziewają się, że ten najwyższy punkt całej linii będzie za kilka tygodni stacją kolei żelaznej. Do r. 1870 będzie już gotową cała kolej, łącząca Ocean Cichy z Atlantyckim.

(Statystyka teatrów londyńskich). Gdy gdzieindziej w całym kraju znajduje się zaledwie kilkanaście teatrów stałych, posiada dziś sama stolica Anglii 32 teatrów, mogących pomieścić razem 59,863 widzów. Największym jest teatr „Britannia“ na 3923 osób; po nim następują teatry: „Drury Lane“ na 3.800 osób; „Astley“ na 3,780, „Pavilion“ na 3.500, świeżo otworzony temi czasy i bardzo świetnie wyposażony teatr „Standard“ na 3.400, i teatr „Victoria“ na 3008 osób. Teatr opery „Royal Italian Opera Coventgarden“ obejmuje tylko 2.500 osób. Siedm innych teatrów może pomieścić po 2.000 do 2.500 osób; dwanaście po 1.000 do 2.000, a sześć innych tylko po 360 do 800 osób. Najmniejszymi są teatry: „Cabinet“ i „Gallery of Illustration.“ Teatr opery: „Her Majestys Theater,“ który zgorzał niedawno, liczył 1.655 miejsc. Sceny w pałacu krzyształowym i w „Cremorne Gardens“ nie są objęte liczbą teatrów londyńskich.

(Nowy rodzaj oświetlenia.) W Paryżu robiono niedawno na placu przed ratuszem próbę z nowym rodzajem oświetlenia, wynalazku panów Tassier du Mothay i Marechal. I w istocie różni się to nowe oświetlenie od gazu w takim samym stopniu, jak dawna lampka olejna od płomienia gazowego. Białe czyste światło tak jest silne, że w odległości 25 kroków można jeszcze całkiem wygodnie czytać zwykły druk gazetowy i rozróżnić najdelikatniejsze odcienia sukni. System

panów Tassier du Mothay i Marechal zasadza się na zupełnem spalaniu zwykłego gazu za przyłączeniem się doń kwasorodu. Mały cylinder z magnezium, na które skierowane są strumienie gazu, zapala się i wydaje tyle światła, że podług fotometru jest siła jego sześćdziesiąt razy większa, niż światła, któreby wydał ten sam gaz spalony w zwyczajny sposób. Przytem posiadają wynalazcy tak tani sposób wyrabiania kwasorodu, że mogą dostarczać kubiczny metr jego po 72 centymów. Kwestya oszczędności przedstawia się więc tutaj w następujących cyfrach: 3 kubiczne metry zwykłego światła gazowego i 4 kubiczne metry kwasorodu, które kosztują 8 franków i 90 centymów, dają podług przedsiębranych już prób z fotometrem takie same światło, jak 180 kubicznych metrów zwyczajnego gazu, których cena wynosi 54 franków i 10 centymów. Jakieżto nieocenione dobrodziejstwo dla ludzkości!

(Kopalnia lodu.) Ogromna ilość lodu, którą podług zwyczaju amerykańskiego spożywa Kalifornia, pochodzi prawie wyłącznie z jaskini, którą możnaby zaprawdę policzyć do cudów natury. Ta jaskinia, będąca niewyczerpanym magazynem lodu, znajduje się nad brzegiem strumienia, zwanego „Białym łososiem,“ w odległości do dwudziestu mil angielskich od rzeki Kolumbii. Wnijscie do niej znajduje się u podnóża Góry Adamowej, pod którą ciągnie się jaskinia na kilka mil angielskich. Widok, który przedstawia się wewnątrz, jest w istocie wspaniały i czarujący. Co kilka kroków wznoszą się olbrzymie słupy lodu, tworzącego się z wody, która wpadając z góry do jaskini zamarza. Jakie mogą być przyczyny tego zjawiska natury, do których potrzeba bez wątpienia zaliczyć także ogromne masy śniegu, okrywające Górę Adamową, tego niedociekli jeszcze dokładnie badacze przyrody; ale to pewna, że z tej jaskini wydobywają ciągle lud bryłami i na mulach transportują aż do rzeki Kolumbii, którą potem spławiany bywa dalej na miejsce przeznaczenia.

(Czytelnie w Chinach) istnieją już od dawnego czasu, a nawet miało ich założenie nastąpić o wiele wcześniej niż w Europie. Lud tamtejszy korzysta z nich bardzo, i z wielu względów są one podobne do naszych zakładów tego rodzaju, a mianowicie także w tém, że publiczność żąda najwięcej powieści i romansów. Imię wypożyczającego i numer książki bywają zapisywane; nieznamy musi składać zastaw; kto uszkodzi książkę, musi zapłacić karę przypisaną w katalogu. Każda książka naznaczona jest stemplem czytelnicy, i spekulantom, pożyczającym pieniądze na zastawy, zakazano wyraźnie pożyczać pieniądze na takie książki. W jednym względzie jednak wyprzedzili nas Chińczycy, gdyż mają oni przenośne czytelnie, które przyczyniają się wielce do szerzenia oświaty w kraju. Domokrażcy jeżdżą z bibliotekami po kraju, rozdają książki po wsiach, odbierają przeczytane napowrót, i prowadzą to przedsiębiorstwo przez cały rok w okręgu, który sobie obiorą. Przykład ten jest zaprawdę godnym naśladowania.

(Olbrzymi okręt pancerny), Jednym z największych okrętów pancernych, które dotąd zbudowano w Anglii, jest „Król Wilhelm“, ukończony właśnie w sławnych hamerniach Tamizy dla rządu pruskiego. Okręt ten ma ośmiocalowe płyty

żelazne z baterią o 26 działach trzystufuntowych, wszystkie odtłocowe, wynalazku Kruppsa Stahl, i takiej konstrukcyi, że z ładunkiem 75funtowym mogą strzelać dwa razy na minutę. (Sławny okręt „Warrior,” zbudowany na tym samym warsztacie, okryty jest tylko do połowy długości 4½ calowemi płytami żelaznemi, i ma mieć 26 dział, ale między temi jest tylko cztery 150funt., wszystkie zaś inne są mniejszego kalibru). Długość okrętu wynosi 365 stóp, jest on więc krótszy o 15 stóp niż „Warrior,” ale za to szerszy od niego o 2 stóp, t. j. 60 przeciw 58. Objętość jego wynosi 6.000 beczek, a średnia głębokość zanurzenia w wodzie 26 stóp. Działanie maszyn parowych równe jest nominalnie sile 1150 koni, ale może być podwyższone aż do siły 7.000 koni. Podług zwykłych obliczeń będzie ten okręt przebiegać 10 do 14 węzłów na godzinę. Czterdzieście pieców potrzeba opalać, ażeby utrzymać go w pełnym biegu; na to potrzeba dziennie przeszło 80 beczek węgla, a w rezerwoarach mieści się tylko 700 beczek. Załoga okrętu oznaczona jest na 700 ludzi. W marcu spuszczoney został „Król Wilhelm“ z warsztatu i przeprowadzono go do Doków Wiktoryi; w jesieni zaś wyruszy po raz pierwszy na morze zupełnie już uzbrojony. Koszta budowy jego obliczono na 400.000 funtów szterlingów.

(Fraszka historyczna). Za rządów króla Karola II. w Anglii panowały na dworze królewskim bardzo lekkie obyczaje, i ani król ani panowie dworscy nie chodzili prawie nigdy do kościoła. Raz przecież z powodu jakiejś uroczystości dworskiej wypadało koniecznie zadać sobie przymus, i cały dwór z królem na czele przybył do kościoła. Połowę mszy wysłuchano jeszcze dość uważnie; ale gdy potem kapelan nadworny South zaczął prawić kazanie, zasnął dwór cały bardzo słodko. Kaznodzieja nie stracił jednak fantazyi.

— Hrabio Lauderdale! — zawołał nagle na cały głos, przerywając kazanie.

Hrabia przebudził się i powstał zdziwiony.

— Chciejcie przebaczyć, Milordzie — rzekł wtedy South — ale muszę was prosić, byście nie chrapali tak mocno, gdyż moglibyście przebudzić króla.

Poczem najspokojniej ciągnął dalej swoje kazanie.

(Amerykański humbug). Wychodząca w Chicago w języku niemieckim „Illinois Staats Ztg.“ ogłosiła temi dniami następujący ciekawy anons: „Pani Adelaida zdolną jest za pomocą horoskopu przedstawić każdej panience obraz jej przyszłego męża, z oznaczeniem nazwiska, stosunków majątkowych, zatrudnienia, dnia zaślubin, szczęścia w pożyciu małżeńskim, oraz całą przyszłość. Tysiące świadectw potwierdzają zdolność pani Adelaidy spełnienia co do joty powyższych obietnic, i gotową jest ona każdej chwili zwrócić pieniądze osobie, którejby nie przepowiedziała prawdy. Należy podać wiek, cerę twarzy, kolor włosów i oczu, oraz dołączyć pół dolara. Odpowiedź nastąpi pocztą odwrotną. Adresować trzeba, z zaręczeniem dyskrety, do pani Adelaidy, box 1267. Chicago. III. Illinois“ — Czy też która z naszych czytelniczek nie zechce korzystać z tego adresu?

ZAPISKI Z BIBLIOGRAFII POLSKIEJ

Z ROKU 1867.

- Wodzicki K. Własność i służebnictwa. Kraków 1867.
 Lewestam. Historia Literatury powszechnej. IV. Warszawa 1867.
 Napoleon III i terytoryalne wynagrodzenie Francyi. Brosz. Lipsk 1867.
 Borkowski L. Mowa sejmowa. Lwów 1867.
 Denkschrift über die Zustände Galiziens 1847. Lemberg 1867. Trzeciński autor.
 Napoleon III na czele Europy. Poznań 1867. Brosz.
 Busnicki. Autorowi: Cechy i stowarzyszenia. Kraków 1867.
 Feldmanowski. Pieśni kroackie. Poznań 1867.
 Przegląd bibliograficzny. Warszawa 1867.
 Węclewski. Historia Literatury greckiej. Warszawa 1867.
 Giller. Historia powstania 1863. I. Paryż 1867.
 Mikłaszewski. Stanowisko prezydującego w sądzie przysięgłych. Warszawa 1867.
 Seifmann. O wściekłości psów. Warszawa 1867.
 Linder. Zużytkowanie rzek, stawów i t. d. Kraków 1867.
 Hube. Prawo Salickie. Warszawa 1867.
 Krzyżanowski S. Kościół N. M. P. w Mohylowie. Kraków 1867.
 Wolniewicz. Projekt założenia spółki rolników. Poznań 1867.
 Encyklopedia powszechna XXVII. Warszawa 1867.
 Kraszewski. O pracy. Biblioteka ludowa. Paryż 1867.
 „ Świat i ziemia. „ „ „
 Niemcewicz. Śpiewy histr. „ „ „
 Przegląd polski. Kraków VI.
 Zacharjasiewicz. Marek Poraj. Kraków 1867.
 Kapiszewski. Kwestja kościoła katolickiego w Radzie Państwa. Kraków 1867. Brosz.
 Ustawy Towarzystwa bratniej pomocy uczniów gimnazjum Franc. Józefa. Lwów 1867.
 Szujski. Wiadomość o dziele: Jagiellonki polskie. Kraków 1867.
 Sznajder. Starożytności miasta Żółkwi. Lwów 1867.
 Kalendarz wydawnictwa dzieł tanich i pożytecznych. Kraków 1867 Trzeciński.
 Jahresbericht des technischen Vereines. Lemberg 1867. (Zbiór rozpraw.)
 Booch Arkossy. Deutsch-polnisches Wörterbuch. II. Leipzig 1867.
 Lucas. O hodowaniu warzyw. Warszawa 1867.
 Rastawica. Zwykłe dzieje. Lwów 1867. Poemat.
 Listy pani de Sevigne. I. Kraków 1867.
 Ponsard. Lew zakochany. Komedja. Kraków 1867.
 Wiara. (Pismo czasowe). Kraków.
 Schmitt. Dzieje porozbiorowe. Lwów. 1867.
 „ O ustroju społ.-politycznym Rzeczypospolitej polskiej. Lwów 1867. Brosz.
 Ustawa Towarzystwa lekarzy galicyjskich. Lwów 1867.
 Supiński J. E. O gimnastyce. Lwów 1867. Brosz.
 Sprawozdanie komisji fizyograficznej. Kraków 1867.
 Nabożeństwo 9dniowe do N. P. Maryi. Warszawa 1867.
 Kowalski S. Sto pociech. Bajki i powiastki. Rzeszów 1867.
 Mikłaszewski W. O znaczeniu sądu przysięgłych. Warszawa 1867.
 Jeden rozdział do przyszłej księgi przysłów polskich. Kijów 1867.
 Buckle H. T. Wpływ kobiet na postęp wiedzy. Tł. S. Czarnkowski. Warszawa 1867.